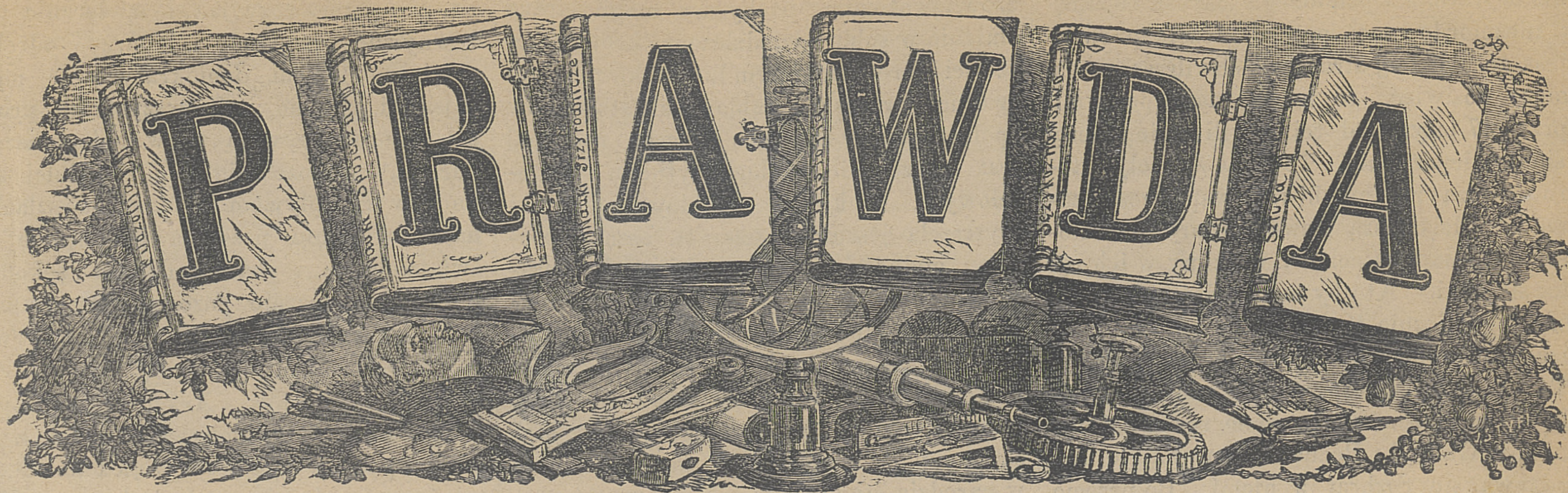
№ 2. Warszawa, dnia 8 Stycznia (27 Grudnia) 1881 r. **Rok I**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ;

POD DATĄ DZISIEJSZĄ.

Do głównej nici w osnowie poprzedniego na tem miejscu rozumowania nawiążemy dziś kilka dopełniających uwag. Rzekliśmy, że o trwałem istnieniu narodu nie stanowią jego warunki i środki polityczne, ale summa oraz wysokość sił i dorobków cywilizacyjnych. Nie przeczyliśmy i nie przeczymy, że owe warunki i środki składają otoczenie, ubezpieczające pomyślny rozwój narodu. Odzież osłania nas od skwaru lub zimna, ale nie tworzy człowieka; również i państwo jest tylko pancerzem społeczeństwa. Jak długo pokój będzie wzajemnem warczeniem a wojna zagryzaniem się ludów, dopóty one muszą na sobie nosić ten pancerz. Czyli, mówiąc językiem przykładu — dopóki po obu stronach granicy dwu sąsiednich plemion lub mocarstw potrzebują stać strażnicze kordony wojsk, dopóty owe plemiona lub mocarstwa nie mogą zdejmować politycznego rynsztunku. Nie znaczy to przecież, ażeby w ich zakresie nie istniały cywilizacyjnie całkiem odrębne żywioły, chociaż pozbawione praw państwowych maszerowania pod własną chorągwią. Otóż stawiamy przed sobą dziś pytanie: czy ogół nasz pojmował i ukochał narodowość swoją przeważnie ze strony politycznej, czy też społecznej?

Jeżeli sięgniemy w dalszą przeszłość, odpowiedź na to pytanie skreśli nam się bardzo wyraźnie. Polska, uprzywilejowawszy jeden żywioł, była nadewszystko państwem. W historyi naszej lud znika, mieszczaństwo ledwie w ostatnich wiekach słabo się wyłania, ciągle występuje tylko szlachta, jako jedyny i niezmiernie ruchliwy czynnik polityczny. Mówimy *polityczny*, bo obładowany albo raczej przeładowany najrozmaitszego rodzaju urzędami. Najskromniejszej miary herbowicze, jeśli nie wisieli całkiem na łasce pańskiej, posiadali jakieś, bodaj honorowe godności. Miecznicy, stolnicy, wojscy, nie mówiąc o wyższych zaszczytach, roili się po kraju. Czytając zeszłowieczne pamiętniki, trzeba się zdumiewać nad trudami naszych przodków w pogoni za tytulikiem komisarza lub rotmistrza... chociażby bez roty. Najwyższą pociechę dla chudego szlachcica na zagrodzie stanowiło to, że, bodaj w przysłowiu, był równym wojewodzie. Komu tylko los pozwolił być „urodzonym,“ każdy przyjmował udział w życiu politycznem; nie umiejąc się podpisać, rozmyślał nad zawieraniem traktatów, wypowiadaniem wojen, ograniczaniem praw korony lub wysyłaniem poselstw do odległych krajów. Zapomnawszy o skutkach tej jednostronności życia, przyznać musimy, że szlachecczy przodkowie nasi, bardziej niż jakikolwiek inny naród, byli wyćwiczeni politycznie. Gdzież bowiem posiadacz kilku morgów gruntu, który nigdy nie widział szkoły, który na ucztach sejmikowych wlewał sobie flaki do kaptura u burki, był tak obeznany z całym ustrojem państwa i jego zewnętrznymi stosunkami? A jeżeli nerwy ruchu i czucia politycznego zbiegły tak nisko, to jakże potężnie musiały one rozgałęziać się i wiązać u góry, w rdzeniu narodu! Nie mówiąc o możnowładztwie, nawet uczeni i poeci przyrastali do ustroju państwa, jako jego mniej lub więcej ważne organa. Ledwie zdołalibyśmy odszukać takich, którzyby nie zdobili się tytułem jakiegoś urzędu. Ten kierunek życia musiał się odbić i w literaturze. Teoryj a przynajmniej wywodów politycznych nasnuto bardzo dużo, ale teorye społeczne zaczęto prząść wówczas dopiero, gdy się tamte porwały. Jeszcze czcigodny Staszic, rozwijając swój pogląd na ekonomiczne stosunki kraju, zadziwiał współczesnych niezwykłością widoku. Co przy takiem usposobieniu i skierowaniu warstwy uprzywilejowanej rozumiano przez istnienie narodu, odgadywać nie potrzeba. To też gdy grom strasznej konieczności kilkakrotnemi uderzeniami rozbił budowę państwową, z pod jej gruzów wydobył się rozpaczliwy okrzyk *Finis Poloniae*. Nie wydał go, jak sprawdziła historya, Kościuszko pod Maciejowicami, ale wydała go szlachta, która utraciwszy podstawy życia ściśle politycznego, nie dostrzegała wcale gruntu, na którym by przyszłość narodu oprzeć mogła. Gdy zginęło wojsko i potargała się lub porwała cała sieć form państwowych, zginęło dla niej wszystko. To też cały szereg późniejszych usiłowań był przeważnie ratunkiem politycznym—niemożliwym, nie zaś społecznym—możliwym.

W czynach spełnionych uznajemy tylko niezłomną konieczność. Ani więc na ustach, ani pod piórem, ani nawet w myśli nie mamy najmniejszego słowa nagany dla ludzi, którzy z pożytkiem czy szkodą legli w grobach dziejów. To, co się stało, świadczy samo za siebie, że się stać musiało. Ale najzupełniejsze zrzeczenie się prawa a może przyjemności zapisywania na marginesach historyi potomnych wyroków nie przeszkadza nam wcale odsłaniać zdarzeń w ich rzeczywistej postaci, i rzucać światła na przyczyny obecnych skutków. Jeżeli zaś nadmierne skierowanie uwagi naszych ojców na polityczną stronę życia, połączone z lekceważeniem społecznej, sprowadziło wiele pomyłek i nieszczęść, dotąd przez nas odczuwanych, to zarazem przyznać trzeba, że popełnione błędy nie przepadły marnie. Z posiewu smutnych doświadczeń wzrastają ciągle owoce dojrzałości narodu. Nie mając tego, co nas kiedyś zupełnie pochłaniało, zaczęliśmy uprawiać odłogi, z których zbierzemy obfite plony. Potrosze już od pół wieku, a wytrwale po przegraniu ostatniej politycznej stawki, zmieniliśmy drogę naszego dźwigania się z upadku—hazardowną grę polityczną na powolny cywilizacyjny dorobek. Może w całej naszej

storyi nie ma podobnego okresu ciężkiej niezmordowanej pracy. Jeżeli prawdą st, że w jednej strasznej chwili człowiek oże posiwieć, to naród nasz posiwiał zed 17 laty. Od tej chwili zmieniliśmy ę do niepoznania. Te same żywioły, któ- wówczas rozdmuchiwały współczesne za- ewie, dziś gaszą nawet pożary przeszło- i. Zamiast miechów, widzimy w ich rę- sikawki. Kto by tak niedawno jeszcze niał publicznie ganić orężne porywy i za- cać spokojne wewnętrzne odradzanie się? ymczasem dziś tam, gdzie marzenia po- tyczne, niczem nietłumione, rosną najbuj- iej, w Galicyi i Poznańskiem, najgłośniej dzywa się rozbrat z niemi. Bo przecie głównej arce polskiego ultramontanizmu feodalnego szlachectwa, w krakowskim *zasie*, co lekkomyślnie podniecał ostatnią orączkę a dziś znieważa tych, których oże sam nią zaraził—w nim nawet możno- ładztwo galicyjskie złożyło nowy testa- ent poprawionego patryotyzmu. Nie zór to zapewnie dla nas taki żakon, w któ- ym klecha furmani panu w karecie, cią- nionej przez kilka par chłopów, w którym trata tytułów polskich wynagradza się nim zakupem austryackich, w którym olityka narodu zastąpiona jest polityką siej służby na niemieckim łańcuchu, ale każdym razie dowód głębokiej zmiany yobrażeń.

Bezwątpienia, jest to ruch świeży, do- ero rozpędowy, wzmaga on się jednak oraz bardziej i wpada w takt ogólnego egu cywilizacyi. Jakiekolwiek przyzna- y cechy temu biegowi, nie ulega wątpli- ości, że on jest demokratycznym. Po- ijając nawet łatwe do zgromadzenia fa- y, trudno wyobrazić sobie żywotny na- d arystokratyczny, któryby poniewierał dem i wydziedziczał go z praw, któryby zgardliwie wyosobniał z pośród siebie mie- czaństwo, słowem, któryby w własnem ele zatamował główne tętnice zdrowia siły. My zbyt niedawno jesteśmy *społe- eństwem* w swych składowych częściach zrównoważonem, ażebyśmy mogli odrazu zmienić w sobie odziedziczoną krew prze- szłości i dorównać innym ludom, które odby- ły długi proces przerabiania się stosunków społecznych. Dla nas jeszcze rodowód jest w szerokich kołach tytułem warto- ściowym, z każdej hrabiowskiej pałki wystrzela jeszcze w naszych oczach pro- mień godności, przyzwyczajeni do opra- wiania ludzi w ramy polityczne grupu- jemy ich według rang, dotąd urzędni- ka nie zestawiamy na równym pozio- mie z kupcem lub przemysłowcem a ca- łą szlachtę uważamy za oczekujących sto- sownej pory kandydatów na przewodnie w narodzie stanowiska. Konieczność pra- cy już pojmujemy, ale na jej równoupraw- nienie godzimy się niechętnie. Pomiędzy jej polami istnieją dla nas, chociaż zwolna przyorywane miedze, odgraniczające zagony szlachetne od nieszlachetnych. Byle wietrz- nik, którego przodkowie nie polizali nawet herbu, wyjechawszy do Wiednia lub Paryża wpina sobie w nazwisko *von* lub *de*, jak kwiatek w klapę tużurka. Niewielu za- pewnie jest u nas ludzi, którzyby zdolni by- li wyobrazić sobie rzemieślnika lub kupca jako przedstawiciela narodu, zwłaszcza że li- teratura, dochowująca jeszcze dawny by- zantynizm, nad zbliżaniem się i spokrew- nianiem żywiołów słabo pracuje.

Te i tym podobne jednak objawy, jakkol- wiek liczne, nie powinny nam zasłaniać in- nych, z których wykwita nadzieja przyszło- ści. Już coraz więcej widzimy obywateli ziemskich, najbardziej obowiązanych chro- nić szlachecką tradycyę od pobrudzenia łok- ciem lub wagą, oddających dzieci swoje do rzemiosł i handlu; już urząd przestał być marzeniem klas średnich a posiadacz pięknie zaprzężonej czwórki ideałem pa- nien dobrze urodzonych. Mięszamy się, krzyżujemy i łączymy, a raczej koniecz- ność tasuje nas jak talię kart, nie zważa- jąc na to, że tuz może się znaleść obok wa- leta, a dama obok młódki. Teraz właśnie, gdy losy skazały nas na bierność politycz- ną, zaczęliśmy rozwijać się społecznie, wy- równywać przepaście i kojarzyć odrębne żywioły, słowem demokratyzować nasze stosunki i zasady. Ze wszystkich proce- sów, które odbywają się w łonie naszego narodu, ten może najgłębiej i najdalej się- gnie swym wpływem. Bez niego szlachta nasza wiecznie przedstawiać będzie dla świata obraz grzyba na dzikim i sękatym pniu ludu; wiecznie pozostaniemy dla nie- go anachronizmem cywilizacyi, dogorywa- jącym gatunkiem jej zwyciężonych w wal- ce o byt rodzajów. Arystokratyzm jest suchotami narodu: nieleczony nadaje z po- czątku pewien łagodny wdzięk i mocne ru- mieńce, ale wkrótce go dusi. A my przecież nie jesteśmy jeszcze tak starzy, ażebyśmy własną ręką grób sobie kopać mieli. Prze- ciwnie, chociaż bogatszą mamy od innych historyę, należymy w Europie do najmłod- szych pokoleń narodów. Chciejmy więc żyć i przestrzegajmy higieny społeczeństw zdro- wych. Stańmy się raz społeczeństwem, spo- łeczeństwem demokratycznem, niedourzo- nem ani swoją mniemaną wyższością, ani wyższością pewnych w sobie stanów. Sa- ma szlachta była rzeczywiście polskim narodem, ale nim nie jest i być nie może. Chociaż rozproszone po Europie stado na- szych panów zaczyna się wabić, nie obie- cujemy sobie niczego z ich połączenia.

Tyle *pod datą dzisiejszą*. Wprzódy obraz niż ramy...

A. Świętochowski.

O POTRZEBIE REFORMY
W NAUCZANIU JĘZYKÓW OBCYCH.

Nie dotykając pytania, czy potrzebne są nam języki obce, które z nich mianowicie, w jakim stopniu i w jakim wieku powin- nyby być wykładane, zamierzam tutaj oka- zać, że obecna metoda nauczania ich jest wadliwa i że z gruntu należałoby ją prze- robić, według zasad, które postaram się w krótkości przedstawić.

Z KRONIKI MŁODOŚCI.

II.

NA POGRZEBIE.

— Panowie daleko jedziecie? spytał, czę- ując papierosami, nasz dziwnie wesoły warzysz, który przez godzinę wspólnej odróży w jednym wagonie zdołał nam powiedzieć dużo swoich szczęśliwych za- ładów na wyścigach.

— Do Otwocka.

— A, to wysiadamy razem.

— Ale my jeszcze trzy mile końmi.

— Dokądże?

— Do Owsianek, majątku rodziców mo- go kolegi.

— Zatem mam przyjemność spotkać pa- Gołębskiego—rzekł nieznajomy, zwra- ając się do Józefa. Jestem niemal pań- kim sąsiadem — Wilkołyski.

Nastąpiły wzajemne ukłony i zapewnie- a, że nam wszystkim trzem było „bardzo zyjemnie.“ Jakkolwiek o panu Wilko- skim słyszałem dość często i dość wiele, awiąc jednak zaledwie przez kilka tygod- podczas wakacyj w domu państwa Go- bskich, nie miałem sposobności a wresz- cie i chęci go poznać. Właściwie nawet za- pomniałbym zupełnie o jego istnieniu, gdy- by nie nasza przygoda z osią w Przytyku.

— Długo panowie zostajecie jeszcze w uniwersytecie?

— Skończyliśmy już kursa i jedziemy odpocząć—odpowiedział Józef.

— A powinszować, powinszować — za- wołał Wilkołyski i uścisnął nam ręce.

Lokomotywa gwizdnęła, dojeżdżaliśmy do stacyi.

— Kochany sąsiad—rzekł ujmująco nasz znajomy do Józefa — nie odmówi mi wraz ze swym kolegą wielkiej przyjemności. Jest już wieczór, ciemno, macie panowie trzy mile do domu, zanocujcie u mnie — zgoda?

Daremnie w ścisłem ze mną przymierzu Józef wymawiał się od tych zaprosin — Wilkołyski umiał tak nas skruszyć swemi serdecznościami, że musieliśmy uledz.

— Zróbcie to—mówił—dla człowieka, któ- ry was szczerze pokochał i który również niedawno opuścił ławkę uniwersytecką.

— Gdzie pan kończył?—zagadnął Józef.

— Spytaj pan, gdzie nie kończyłem — odparł Wilkołyski, chwycił oba nasze tło- moczki a gdy drzwi od wagonu otwarto, podał je kolejowemu posługaczowi.

Wysiedliśmy. Marcinek, najmowany fur- man Józefa, spostrzegłszy nas, podbiegł, zdjął czapkę i kłaniając się, rzekł do mnie wesoło:

— Dziś juz panie mamy oś jak mur. Wziąnem nowiusieńką, jesce niesmaro- waną.

— Dobrze, mój Marcinku, ale nie poje- dziemy.

— Cemu? — zawołał zdziwiony.

— Bo pan Wilkołyski zaprosił na noc.

— E — cmoknął Marcinek — djabli ska- rali z takim noclegiem. A tozby się panowie na bryce lepiej przespać mogli. W Przyty- ku wróble juz gniazd nie ścielą, nie ma na- wet cem zęba wykluć.

— Nie rezonuj — oburknął się Józef— i idź do koni.

— Nie wiem, co państwo na to powie- dzą,—mruknął Marcinek i odddalił się.

Przeszliśmy kwaśni na drugą stronę dworca, szukając Wilkołyskiego. Dostrze- głem go zdala, dającego przyciszonym gło- sem jakieś napomnienia młodemu chłopcu w poszarpanej furmańskiej liberyi.

— A pamiętaj, jak masz odpowiedzieć— rzekł do niego odchodząc.

Wysoka, barczysta jego postać rysowa- ła się wspaniale na tle nocy, rozjaśnionej światłem kolejowej latarni. W ruchach, w podniesieniu głowy, w starannem ubra- niu znać było pana i człowieka, który nie potrzebował rozpierać tłumu kułakami dla wolnego przejścia, bo tłum sam przed nim się usuwał. Przy blasku dnia Wilkołyski mógł mieć lat czterdzieści, ale gdy pod cie- niem wieczoru znikły lekkie zmarszczki

Głównemi wadami dotychczasowego sposobu znajomienia dzieci i młodzieży z językami obcymi wydają mi się następne:

1) Używanie metody dedukcyjnej (nazwijmy ją zstępną) i wynikający stąd dogmatyzm, aprioryzm, słowem narzucanie prawideł i wyjątków z góry, wyglądające raczej na katechizacyę, aniżeli na rozsądne poznawanie pewnej grupy zjawisk.

2) Bezmyślne dobieranie zasobu językowego, mającego służyć za illustracyę reguł i regułek, wciskanych dogmatycznie w głowy uczniów.

3) Umyślne zamykanie oczu na zdobycze językoznawstwa porównawczego, ignorowanie pierwotnego powinowactwa języków oraz międzynarodowych węzłów cywilizacyjnych, wyrażających się w słowach, zdaniach i zwrotach, zapożyczonych z mów obcych.

Przypatrzmy się zblizka tym zarzutom i postarajmy się je uzasadnić.

Bierzemy mowę i gramatykę łacińską za materyał do naszych wywodów i dowodów.

Co do pierwszego zarzutu. Odkrywamy na chybił trafił kartę 74 powszechnie znanej gramatyki łacińskiej Zumpta i czytamy co następuje.

Rozdział 18, paragraf 77. „*Rodzaj wyrazów trzeciej deklinacyi. Żeńskie.* Femininami są wyrazy kończące się na *as, is, ys, aus* i *x*, a także na *es*, gdy w genitiwie nie dostają nowej zgłoski, oraz na *s* z poprzedzającą spółgłoską, np. wyrazy: *auctoritas, navis, chlamys, laus* (oprócz tego tylko jeszcze *fraus*), *pax, radix, arx, nubes, pars, mors, hiems. Wyjątki na as.* Maskulinem jest *as*, 2 przypadek *assis*, wraz z jego cząstkami i złożonemi, choćby inaczej zakończonemi, np. *quadrans* ćwierć asa, *bessis* dwa asy, oraz wyrazy greckie, mające w genitiwie *antis*....“

Potem następują wyjątki na *is*, potem heksametr o siedmiu wierszach, obejmujący 37 maskulinów na *is*, zaczynający się tak:

„Mascula sunt panis, piscis, crinis, cinis, ignis,
Funis, glis, vectis, follis, fascis, lapis, amnis...“ i t. d.

potem wyjątki na *ys*, na *x, es, s* i wreszcie nowy ustęp drobnym drukiem.

Z kilkuset wyrazów, zamieszczonych w tym rozdziale, *kilku* zaledwie znaczenie jest podane, resztę czytamy tylko po łacinie.

Charakterystycznym jest następny frazes (str. 74): „Że *mas, maris* samiec i *vas, vadis* poręczyciel, są generis masculini, *wynika to z powszechnego prawidła o rodzaju.*“

Więc *mas* i *vas* nie dla tego są rodzaju męzkiego, że tak je chce mieć zwyczaj języka łacińskiego, oraz męzkie znaczenie ich: samiec i poręczyciel, ale dla tego, iż *powszechne prawidło o rodzaju* tak nakazać raczyło.

Powiedzmy otwarcie, taka metoda wykładu gramatyki jest przewróceniem rzeczy do góry nogami. Wszakże nowsze badania filozoficzne i pedagogiczne dowiodły nam, że nauczanie jest to stopniowe obeznawanie się z nieznanemi rzeczami i przedmiotami. Wszakże nikt nie wątpi, iż chemii albo fizyki uczyć się można tylko z doświadczeń i wśród doświadczeń, botaniki z dostrzeżeń, astronomii z teleskopu, rolnictwa z roli; a tymczasem języka uczymy nie z języka, ale z książki, narzucając uczniom prawidła i prawidełka, wyjątki i wyjąteczki, poparte z łaski czasami jakim takim przykładem, którego nawet znaczenia nie raczymy powiedzieć. Zdaniem mojem metoda zstępna (*dedukcyjna*) zgoła jest niewłaściwą tutaj, a nawet szkodliwą, przytępiającą, bo zamiast zmuszać ucznia do współpracownictwa w odtwarzaniu prawideł języka, narzuca mu cudze, suche, dogmatyczne pewniki, każe mu się ich uczyć bezmyślnie na pamięć i wcale się nie odwołuje do jego myśli, lecz tylko do mechanicznej pamięci.

Nie należy myśleć, że Zumpt jest karykaturą lub objawem przedawnionej metody pedagogicznej. Owszem, gramatyka jego kwitnie i dziś w trzynastem wydaniu, a inne gramatyki łacińskie, nie wyjmując naszych szkolnych Kühnerów i Krämerów, ani na włos w metodzie nie odstępują od ustalonej powszechnie dogmatyczno-dedukcyjnej normy. Toż samo można powiedzieć o wszystkich gramatykach szkolnych wszystkich nauczanych u nas języków. Nawet owe „najnowsze metody“, z kluczami i bez kluczów, są tylko pozornem niby ulepszeniem starej rutyny: wszędzie tkwi uparcie dawny, scholastyczny Alwar, wszędzie dogmat zamiast żywego faktu.

Zanim przejdę do wskazania lepszych, zdaniem mojem, dróg nauczania, muszę wprzód zastanowić się nad drugim zarzutem, dotyczącym zasobu językowego, używanego przy dotychczasowem poznawaniu języków; nie wyjaśniwszy bowiem mojego poglądu na zbiór i układ materyału mównego, nie mogę dokładnie wyrazić zapatrywania mojego na metodę wykładu.

Powiedziałem, iż obwiniam dzisiejszy sposób nauczania języków obcych o *bezmyślne dobieranie zasobu językowego*. Nie rozwodzę się nad tem szeroko, proszę sobie przypomnieć ów głęboki a pełen myśli frazes, przytoczony przez Litwosa z jakiejś gramatyki:

„Koń cudzoziemca zjadł guzik sąsiada.“ Albo ową nieśmiertelną ozdobę gramatyk łacińskich;

„Terra est rotunda et globosa.“

Na każdej stronie pierwszej lepszej gramatyki czytelnik znajdzie dziesiątki i setki podobnie mądrych frazesów. Są one utworem umyślnie dla reguł i wyjątków: historya nosa dla tabakiery!

Czy się godzi nadużywać w ten sposób daru, zwanego potocznie rozumem? Czy wolno, niby dla wyjaśnienia suchych dogmatów gramatykarskich, obarczać pamięć młodzieńca bezmyślnymi, powiedzmy otwarcie—głupimi frazesami, które nie mówiąc nic, nie mogą się wrazić w pamięć, są bezbarwne i tępe?

A z drugiej strony, co za korzyść z tych zdań i okresów, utworzonych przez autorów gramatyk *ad usum delphini*? Kto zaręczy, że są one zbudowane w duchu języka, którego gramatykę mają niby ilustrować?

Badając *język* trzeba z *języka* brać przykłady. Autor gramatyki i nauczyciel powinni tedy sobie postawić za prawidło: nie podać ani jednego zdania, któreby nie było wzięte z żywej mowy i któreby nie miało jakiegoś zajmującego, pouczającego znaczenia. Zwrócić się więc należy do przysłów, pieśni ludowych, maksym lepszych pisarzy, ucinków, kalamburów, podań o nazwach ludzi i miejsc, mylnych słoworodów, anegdot, napisów starożytnych i nowożytnych, nazw urzędów i innych terminologij, formuł prawnych, politycznych, religijnych,—słowem do mowy rzeczywistej, typowej, oryginalnej. Ma się rozumieć, że przy nauczaniu języków starożytnych zajść tu muszą pewne ograniczenia; ale mimo to, zasób zajmujących zdań i urywków można nagromadzić niemały.

Czyż nie stosowniej i nie rozsądniej, aby uczeń, zamiast takich frazesów, jak „Podaj mi nożyczki, które leżą na stole“, albo „Dom sąsiada wyższy jest od naszego“

---

i brodawki jego bladej, prawidłowej, czarnym wąsem ozdobionej twarzy, wyglądał na świeżo dojrzałego mężczyznę, który począł dopiero kosztować życia.

— Trzeba przyznać, że obywatel ten ma fason — rzekł Józef, odczuwający zawsze towarzyską wytworność.

— Dla krawców pociecha—wtrąciłem.

— Jesteście panowie — zawołał Wilkołyski—no, jedziemy. Grzegorzu, Grzegorzu!

— Co pan każe — odezwał się posługacz kolejowy.

— Kuferki nasze są już w powozie?

— Wszystkie.

— Zatem, siadajmy.

— Marcinek, za nami! — krzyknął Józef i ruszyliśmy do stojącego w głębi pod drzewami... powozu, który okazał się malutkim, starym, niemiłosiernie poturbowanym wolantem. Tłomoczki nasze zajęły całe jego wnętrze, z popriutych ceratowych poduszek sterczały grochowiny a nadto podziurawione pudło chwiało się za najmniejszem dotknięciem. Na szczęście tę rozbitą skorupę miały ciągnąć dwa wysokie i chude konie, od których nie można było się spodziewać zbytniego zapału.

— A ty psubracie, czem przyjechałeś? krzyknął na furmana Wilkołyski, założywszy binokle i przypatrzywszy się bacznie swemu ekwipażowi.

— Proszę jaśnie pana wszystkie cugowe oberwały się wczoraj z kantarów i jak wpadły na płoty, tak sobie het poscierały nogi.

— A nie mogłeś zaprządz do powozu?

— Kiedy jaśnie pani kazała po siebie przysłać a kareta za ciężka.

— To furman! Cztery konie okaleczył i jakiegoś grata tu przywlókł. Przepraszam panów—rzekł zwracając się do nas—za tego gapia i za niewygodę, na jaką mimowolnie narazić was muszę.

— Jedźmy bryczką Gołębskiego—wtrąciłem, podsuwając najszczęśliwsze rozwiązanie komedyi.

— Tak źle jeszcze nie jest—odparł Wilkołyski — przelecimy szybko.

Usiedliśmy z podkurczonemi i pomięszanemi nogami, jak na czułych szalkach, równoważąc ciągle pochylenia wolantu.

— A trzymaj konie mocno — upominał Wilkołyski—żeby się nie zlękły i nie zbiegały.

One też, jak gdyby dla dogodzenia swemu panu, nie słuchały rzęsistych smagań furmana i nie dały nawet lekkim truchtem powodu do obawy. Za nami, gwiżdżąc sygnały pocztowe, jechał Marcinek, rozparty na swojej szerokiej bryce, którą Gołębski, oszczędny gospodarz i wróg zbytku, zwykł był w porze roboczej wraz z końmi najmować dla przywiezienia syna. Ach, z jakąż tęsknotą zgnieciony i połamany na pańskim wolancie, oglądałem się za tym prostym, drobnoszlacheckim korabiem! Jedyną rozkoszą była piękna, wonna i orzeźwiająca noc lipcowa, która zlewała balsamy na wszystkie dolegliwości podróżnej tortury.

Długo milczeliśmy, wreszcie Wilkołyski, chcąc zapewne nas pocieszyć lepszą nadzieją, rzekł:

— Moje *Sans souçi* jest ustroniem skromnem, ale posiadam w niem coś, co, przynajmniej w naszej okolicy, jest rzadkością.

— Cóż takiego zapytałem.

— Zobaczycie panowie. Rozpocząłem niezwykłą u nas hodowlę, po której spodziewam się wielkich rezultatów. Nie przeczę, że dotąd jest to tylko rozrywka, ale rozrywka, obiecująca poważną korzyść. Trudno, musimy wyjść z dotychczasowego deptaka gospodarczego a raczej rozszerzyć jego koło dla dwu względów: dla przyjemności osobistej i dla podniesienia kultury. Proszę panów, mówmy szczerze: czy człowiek z wyższym umysłem może zadowolnić się jednostajnem wychowywaniem bydła, koni, owiec i swojskiego drobiu, a przytem czy przemysł krajowy powinien się wiecznie kręcić na jednem miejscu? Wszystkie szlachetniejsze gatunki zwierząt, bobry, tumaki, wytępiliśmy, a nowych gatunków nie przyswajamy. Dla czego Ameryka jedynie ma posiadać papugi a Azya słonie? Dla czego nasze lasy, pola, rzeki nie zapełnią się fauną innych stref? Na pytania te odpowiadano mi zawsze, żem poeta. Nie

miał sobie podawaną taką np. mozajkę łacińską:

Sta sol.—Vale et me ama.—Anegdota o Eo rus—i,—Nutrimentum spiritus (nadpis na bibliotece berlińskiej).—Res sacra miser (nadpis na domu Dobroczynności w Warszawie).—Legenda o bocianie z tabliczką na szyi i z nadpisami na niej: Haec ciconia ex Polonia i t. d.—Virtuti militari.—Rewera Potocki.—Veni Creator mundi Spiritus.—Pater noster i t. d.—Silva rerum.—Biberius Caldius Mero i Tiberius Claudius Nero.—Mit o Finis Poloniae.—Et tu, Brute, contra me.—Caveat consul itd. Hannibal ante portas.—Neminem captivabimus i t. d.—Usque ad finem.—Anegdota o bernardynie, który mówił bonus vinus.—Disce puer i t. d.—Wiadomość o Maleventum i Beneventum.—Requiem aeternam i t. d.—Mater misericordiae i t. d. (nadpis na Ostrej Bramie w Wilnie).—De revolutionibus orbium coelestium.—Verbum nobile i t. d. i t. d.

Takich frazesów, objaśnionych stosownie, uczeń uczy się łatwo i chętnie. Od nich trzeba zaczynać naukę każdego języka. Po kilku miesiącach dopiero, gdy uczący się będzie miał już w głowie parę tysięcy żywych, zajmujących, barwnych zdań i okresów, przystąpić można do tak zwanej gramatyki.

Tu właśnie muszę słów kilka powiedzieć o metodzie wstępnej (*indukcyjnej*), zastosowanej do tej tak zwanej „suchej“ nauki. Suchą uczyniła ją scholastyka i pedanterya, przekształcając z dyscypliny doświadczalnej na dogmatyczną. Obowiązkiem jest naszym odwrócić piramidę, postawić ją na szerokiej podstawie indukcyi i uczynić zajmującą.

Dopiąć tego można jedynie uprzytomniając sobie na każdym kroku wielkie zasady fii i pedagogiki. Te powiadają, że iek uczyć się powinien myśląc, budu-worząc, uogólniając; że uczeń, skraca-v głowie swej całą robotę przeszłych ziejów, powinien na nowo odtworzyć h tej nauki, którą bada; że nauczy-owinien być tylko regulatorem nie-ącej pracy indukcyjnej w mózgu a.

lnem słowem: uczeń sam powinien ko tworzyć gramatykę, a nauczyciel n mu w tem dopomagać, wspierając adą metodyczną lub posiłkami fak-ymi. Stosując to do łaciny i nagromadzonych wyżej frazesów łacińskich, należy, aby uczeń, znając ich spory już zapas, wyszukał naprzód wszystkie imiona, potem wszystkie pierwsze przypadki, potem układał je w kategorye (niby gatunki, rodzaje); nauczyciel mu dopomoże, oświecając go np. że gramatyka od wieków odróżniła i przezwała skupienie zakończonych na *a* pierwszą deklinacyą, że do niej należą przeważnie imiona żeńskie i t. d. Potem toż samo powtarzać z dalszymi przypadkami, z innemi częściami mowy, ze składnią, aż się przejdzie wszystkie formy wyrazów i zdań.

Trzeba gramatykę traktować jak botanikę, wyrazy jak osobniki roślinne. Gdy się wyjdzie na łąkę i zerwie kwiat, to się dochodzi, do jakiej rodziny, gromady, klasy on należy. Tak samo trzeba postępować i ze słowami. W oddzielnym kajecie porobić rubryki i wpisywać do nich kolejno znalezione wyrazy i rzeczowniki w 1 przypadku oddzielnie, podług zakończeń, w 2-m znowu oddzielnie, czas teraźniejszy w różnych osobach znów w oddzielnej kategoryi itd. itd. Słowem należy, aby *uczeń odtwarzał sam gramatykę danego języka.* Taka droga istotnie go czegoś nauczy, i nie znudzi, i rozwinie ogólnie, i pracować nauczy, wskaże drogę myślenia i dochodzenia samodzielnego, robienia dostrzeżeń, rozróżniania, gatunkowania. A obok tego, ileż cennego materyału poda głowie i sercu jego sama treść zasobu językowego: przysłowia, maksymy wielkich ludzi, apoftegmata filozoficzne, anegdoty, alluzye historyczne,— wszystko to wcale niemało się przyczyni do ogólnego rozwoju młodej głowy. Trzeba, aby było jak u owego Rzymianina: „nulla dies sine linea,“ tak tu „żaden wyraz bez znaczenia“. Jak życie każdego człowieka jest skróconym procesem assymilacyi kilka miljonów lat może, tak samo i nabycie każdej nauki powinno być streszczonemi dziejami jej utworzenia, odbudowanemi pracą jednej głowy. Takie tylko przyswojenie nauki jest czegoś warte: reszta to paplanie papugi, albo manipulacye małpy.

(Dokończenie nastąpi).

Jan Karłowicz.

Z FRANCYI.

Paryż, 1 stycznia 1881 r.

Portalisa *Dwie Rzeczpospolite*. — Plan przebudowania społecznego. — Szukanie w ustawie źródeł nowego życia.—Sprawa kobieca.—Paradoks i żarliwość.—Dumas i Girardin. — Zkąd wschodzi słońce postępu.

Wśród mnóstwa nowości, jakiemi obecna pora zasila świat umysłowy, materyał przedstawia się bogaty. Nie chcąc jednak do korespondencyi zsypywać luźnych faktów, jak do woreczka kamyki, zastanowimy się dziś nad jednym z nich, ciekawszym od innych.

Pan Edward Portalis, naczelny redaktor dziennika *La Vérité*, wystąpił pod koniec roku z dziełem większych rozmiarów p. t. *Dwie rzeczpospolite.* Skorzystamy z niego właśnie w celu zapoznania czytelnika z poglądami tego publicysty, poruszającymi najszersze zagadnienia chwili teraźniejszej. Różnice zapatrywań autora z naszemi wytkną zarazem główne punkta przekonań sprawozdawcy.

Wierny hasłu swej gazety, p. Portalis całą treść dzieła sprawadza do twierdzenia, które pod pewnym względem obala dotychczasową definicyę rządu republikańskiego we Francyi, wypowiedzianą w znanych słowach Thiers'a: „Rzeczpospolita, jeśli ma być, musi być zachowawczą.“ Autor nasz utrzymuje natomiast, że, jeśli ma być, musi być przedewszystkiem z założeniami swemi i zasadami zgodną, czyli—*prawdziwą.*

Zgodność tę z prawdą p. Portalis upatruje w szeregu zmian ustawodawczych, mniej więcej naruszających lub usuwających obecne podstawy publicznego porządku we Francyi, poczynając od przejrzenia i przerobienia dzisiejszej konstytucyi państwowej w duchu reform, nakreślonych jeszcze przez zgromadzenie narodowe 1849 roku, t. j. idących w kierunku ubezpośrednienia udziału głosowania powszechnego w administracyi, sądownictwie i polityce krajowej. W tem założeniu autor porusza wybitniejsze sprawy porządku dziennego obrad ciał rządowych i zajęcia opinii publicznej: sprawy wychowawcze, religijne, samorządu gminnego i prowincyonalnego. Jest on za oddzieleniem spraw kościoła od spraw państwa, za wprowadzeniem lub rozszerzeniem zasady wyborczej w trybunałach, za jedną Izbą ustawodawczą, za usta-

---

zę, bo do wszelkich śmiałych ruchów eba nieco poezyi.

lkołyski mówił z takim zapałem i przeniem, że mnie ujął dla swych pomy- wzbogacenia fauny krajowej. A, więc a to rujnuje majątek i tem wyrabia sławę szaławiły! — pomyślałem.

jęci tym przedmiotem, dojechaliśmy zcie do Przytyka. W miarę jak poliśmy się w głąb wioski, rozmyślania nad hodowlą papug u nas ustępowały ca wspomnieniom dziwnego pogrzebu, go byłem świadkiem minionej jesieni. l oczyma stanęły mi żywo płaczące grobem krowy dzieci, zrozpaczony iak, chora jego żona. Zdala już upaałem znajomej chaty, którą pomimo ości rozpoznałem dokładnie. Na wiej łza mi z serca się wycisnęła. Paem ciekawie, szukając oczyma jakieaku doli biedaków. Z okna błyskaiatełko, na podwórzu jednak nie było o; tylko przed domem stała poważnie a krowa obok młodej białej jałowicy.

Patrz—krzyknąłem uradowany, szarpzy Józefa za rękę—ma!

Co pan takiego dostrzegłeś? zapytał Wilkołyski.

Opowiedziałem mu nasze zdarzenie.

— No, osądź pan teraz — rzekł — czy to są ludzie! Mąż nie płacze nad chorą żoną, dzieci nad matką, ale gdy im krowa zdechnie, wpadają w rozpacz.

Słuszności tego spostrzeżenia zaprzeczyć nie chciałem; więc umilkliśmy, tem bardziej, że konie Wilkołyskiego, które na szczęście ani razu przez drogę się nie zlękły, poczuwszy bliskość stajni, pozwoliły sobie lekkiego truchta.

— Trzymaj mocno! trzymaj!—wołał na furmana dziedzic Przytyka.

Przy kilkakrotnem trzasku z bata zajechaliśmy przed dom. Na spotkanie nasze wysunął się tylko smukły z wieżyczką ganek, przez który, nabiwszy sobie kilka guzów w niskiej sieni, weszliśmy do pustego przedpokoju. Przy oknie, na którem paliła się mała łojowa świeczka, stał niemłody izraelita i kiwał się, mrucząc wieczorną modlitwę. Spostrzegłszy nas, skłonił się lekko i dalej szeptać począł, odwrócony plecami. Wilkołyski, ujrzawszy go, poczerwieniał, ale rzekł z przymuszonym uśmiechem, wprowadzając nas do ciemnego pokoju.

— Tylko żyd i pies wiernie domu strzegą, ręczę panom długoletniem doświadczeniem. A ten stary arendarz jest tak do mnie przywiązany, że z pewnością w tej chwili za mnie się modli.

Zapaliwszy świecę, gospodarz przeprosił nas i wyszedł do niewidzialnej służby. Owocem tej wyprawy była herbata, chleb z masłem i spodeczek konfitur.

— Po kawalersku, panowie, po kawalersku. Kto nie ma żony, nie ma kuchni. Wyznam, że nigdy mi cudze kawalerstwo mniej nie smakowało. Byłem tak głodny, jak Ugolino, i omal nie zacząłem ogryzać własnych palców. Jakkolwiek Wilkołyski upewniał nas, że wegeteryanizm jest najdobroczynniejszym w jedzeniach wieczornych, że świeże powietrze dziwnie go zasyca, nie zauważył jednak widocznie w nas wyznawców swojej hygieny, bo poradził, ażebyśmy po trudach podróży udali się wcześnie na spoczynek. Życząc przyjemnych marzeń, powiódł nas przez pustą izbę do trzeciego pokoiku i na progu pożegnał. W sypialni stały dwa stare, na czerwono pomalowane łóżka. Zbliżywszy się do jednego z nich, spostrzegłem brudną, niepowleczoną pierzynę, położoną zamiast materaca na kilku poprzecznie przeciągniętych sznurach, na niej wykropkowaną przez muchy, pająki i pchły poduszkę a do okrycia zwykłą końską derę. Z pościeli tej wydobywała się mocna woń kuchni i stajni. Stanąłem z załamanemi rękami nad tem gniazdem, w którem los mi niewinnie kazał całą noc przespać. Obejrzałem się — Józef dumał równie zgnębiony nad podobnem łożem.

— Wpadliśmy—co? rzekł z uśmiechem.

— Podobno lepsza chłopska stodoła, której się tak obawiałeś.

W tej chwili wszedł do pokoju zaspany parobek, niosąc nam dzban wody i miskę.

nowieniem rzetelnej odpowiedzialności ministeryalnej w miejsce dzisiejszej — gołosłownej. Widzimy z tego, że autor roztrząsa wszystkie te punkta szczegółowe, które w chwili obecnej są przedmiotem żywych sporów i polemiki stronnictw we Francyi. Rozbierać je szczegółowo nie jest na teraz naszem zadaniem. W miarę nadchodzących faktów i o ile one zając będą w stanie ogół nasz, dotkniemy nieraz każdy z nich osobno. Teraz zaś zwróćmy się do dzieła Portalis'a jedynie z pytaniem: jaki jest wspólny charakter jego projektowanych przebudowań?

U wstępu zaraz zauważyć winniśmy, że autor za wiele ufa życiodawczej sile ustawy, za mało natomiast przenika w głąb zagadnień, jakie na wierzch społecznego bytu wynosi stary obyczaj lub nowa potrzeba, tegoczesna wiedza lub zakorzenione przesądy, zaskrzepłe cierpienia lub zdrój świeżych pragnień.

Bezwątpienia, słusznie utrzymuje p. P., że rozszerzone i ulepszone instytucye państwowe ułatwiają swobodny rozwój inicyatywy społecznej; ale to także pewne, że same przez się nie mogą one przewidzieć natury objawów owej inicyatywy, ani często jej nawet cierpieć. Znana to prawda, że społeczeństwa przebudować od razu, wedle architektonicznego planu, niepodobna. Ztąd pomysły prawne, nieoparte na postrzeżeniu budzących się przez postęp nowych potrzeb i już istniejących, oraz utrwalonych przez wieki a postępowi zawadzających prądów, są jakoby ramami i płótnem do obrazu, którego kompozycyi malarz nie uzmysłowił jeszcze w swej wyobraźni, a tem samem nie obliczył jej rozmiarów, ani stosunku figur.

Walny to niedostatek książki Portalisa, bogatej w wywody prawno-polityczne, ale za ubogiej w fakta z życia poczerpnięte. Dla uwydatnienia tej słabej strony dzieła, weźmiemy za przykład sprawę, roznamiętniającą pióra publicystów francuskich od chwili, jak ją, po raz już nie wiem który, podnieśli na nowo dwaj posiwiali na tem polu zapaśnicy: Aleksander Dumas i Emil Girardin. Mówię o sprawie równouprawnienia kobiet, czyli według obecnego, ścieśnionego jej zakresu—o sprawie przypuszczenia ich do głosowania. Punkt ten wysuwam naprzód i dla tego jeszcze, że z jednej strony jestem zwolennikiem zasady bezwarunkowego usamowolnienia kobiety, tem nie mniej jednak ze strony drugiej różnię się zarówno z Dumasem jak z Girardinem i Portalisem co do skuteczności wskazanej przez nich drogi. Portalis pospołu z tamtymi mniema, że przedewszystkiem ustawa trzyma kobietę w niewoli i upośledzeniu. Otóż sądzę, że jestto raczej skutek obyczaju uświęconego nietylko przez wychowanie i przesądy, przez nadużycia silniejszych i bezbronność słabszych, lecz nadto przez usta tych samych publicystów, którzy stając w szeregu obrońców kobiety, są nieraz najniebezpieczniejszymi jej nieprzyjaciółmi: rzucając paradoksy—jak Dumas, objawiając zbytnią gorliwość, — jak Girardin, lub obierając błędną drogę—jak Portalis.

Co może być np. smutniejszego nad zasady Dumasa, który dziś z rewolwerem w ręku radzi kobiecie wywalczać prawo o udział w głosowaniu, on, który przed niewielu laty ogłaszał ją za pół człowieczą, pół małpią istotę i chełpił się: „że kobietę rozebrał w teatrze publicznie, ochłostał i napiętnował.“

Smutne to są zwroty, choć zgrabnem dzisiejsze do winy przyznanie—smutne dla tego, że nie wzbudzają bynajmniej wiary w nowo-wytworzony pewnik i pozwalają przypuszczać ciąg dalszy wahadłowych ruchów autora.

Co myśleć również o teoryach Girardina, zaczynających i kończących reformę na żądaniu, aby dzieci nosiły miano matki i aby wzbroniono przyjmowania mamek, gdyż „lepiej jest, jeśli wątłe dziecię bogatego umrze z braku zdrowego pokarmu, niż dziecko tej, która swój pokarm wynajmuje za pieniądze.“ Spartańskie to niewątpliwie rady, ale jakże niepraktyczne, jak do śmieszności przesadzone, a wkraczające przytem w dziedzinę, niegraniczącą wcale z równouprawnieniem kobiety. Owóż takie i tym podobne wyskoki świadczą wymownie, że zawiłość, że nierozum dzisiejszych form społecznego bytu tkwi nie tyle może w ustawie, która jest tylko formalnie ogólnionym wyrazem panujących w narodzie przekonań, lecz raczej w jałowości i lichocie umysłowego gruntu. Tym też wyskokom zawdzięczamy, że tak zwana „kwestya kobieca“ wynurza się tu od czasu do czasu nad poziom zagadnień bieżących, szamoce się, rwie i znowu pada, jak przedziurawiony balon, któremu wydymania i wydmuchiwania dumasowskie czy girardinowskie nic pomódz nie zdołają. Przeciwieństwa i filozoficzno-polityczne antytezy, wychodzące z niedorzeczności u Dumasa, lub dochodzące do nich u Girardin'a, mogą zaledwie chwilowo odświeżyć jednostajność politycznego życia, zaostrzają na pół godziny małżeńskie spory i niesnaski lub staro-kawalerskie nadzieje, naprawią zepsuty humor reporterów, ale... nic więcej. Nasyciwszy lub przesyciwszy się niemi, każdy wraca do stanowiska przedrewolucyjnego: pan mąż do biura, pani żona do kuchni, a w cichy kąt idą serca spłakane, do swobody wzdychające!..

Pan Portalis, nie tyle chorujący na młodą ideologię, niby pozytywistyczną, cierpi raczej na zastarzałą podagrę abstrakcyjnego demokratyzmu z roku 1848. Chce świat dzisiejszy przebudować mniej dziwacznie, mniej radykalnie co do mamek, nianiek i rewolwerowej obrony praw, ale, jak już wspomnieliśmy, formułą prawną, dekretem z ławki, wyrokiem z wolterowskiego fotelu. Niestety, ustawa urównoważa jedynie pierwiastki, istniejące w narodzie, a jakże urównoważyć to, co albo nie istnieje w życiu albo się od tej szali wyłącza? We Francyi pytanie to właśnie rozbrzmiewa bardzo pustem i bardzo złowrogiem echem.

W żadnym może kraju obyczaj i opinia nie są w tej mierze więcej zacofane i stężałe w sprawach takich, jak usamowolnienie kobiety. Ustrojona modnie pustka umysłowa z jednej strony, kościół z drugiej, wpłynęły tu na nieuprawność gruntu do tego stopnia, że chyba może francuzi ostatni pociągną za innymi ludami w dziele przeróbki stosunków familijnych. Już Littré zaznaczył przed dwoma laty, że Francya, pomimo pozornej bezwyznaniowości, jest krajem głęboko zakorzenionych polipów klerykalnych. Jakimże więc cudem potrafiłaby ustawa wprowadzić kobietę do Izby poselskiej, gdy pojęcia o jej przeznaczeniu nie wyszły jeszcze ze sfery średniowiecznych przesądów, gdy ogół jeszcze myśli o *hodowlanem* stanowisku jej w komnacie mężowskiej? Dodajmy do tego modniarski zakrój gustów i przekonań stanów zamożnych, ich poniewierkę wszelkiej niebawidełkowej wartości niewieściej, ich zmysłową brutalność i umiłowanie wszystkiego, co przynosi bezwzględną wygodę używania—i osądźmy, czy jest bliską speł-

---

— Mój przyjacielu—odezwał się Józef— pamiętajcie tam o moich koniach.

— A dyć pamiętać by się pamiętało, ale kiej Aron, jak zabrał ostatnie dwa cugowe, tak teraz wszyćko wywozi. Nie ma ani garści owsa.

— Pięknie ten żyd za niego się modli— rzekłem po odejściu służącego.

Zarzuciwszy na brudną pościel surduty, okryci paltotami, położyliśmy się spać. Zaledwie jednak przymrużyłem oczy, poczułem przebiegające mi po twarzy i rękach jakieś drobne żyjątka. Józef także syknął i zerwał się na równe nogi. Zapaliliśmy świecę: wszelkiego rodzaju domowe, nader obłaskawione owady roiły się na naszem posłaniu.

— A więc to pewnie hodowlę tych gatunków obiecał nam pokazać Wilkołyski— rzekł Józef. Mógłby je wytępić bez uszczerbku dla fauny krajowej.

Polowanie w łóżkach zajęło nas do brzasku dnia. Uzbroiwszy się w cierpliwość i tolerancyę, sprobowaliśmy znowu zasnąć. Na domiar jednak naszej niedoli w sąsiednim pokoju jakiś ptak zaczął takie wyprawiać harce, tak bić skrzydłami o ścianę, że w połączeniu z wędrówką owadów ciągle nas rozbudzał. Nareszcie zrobiła się cisza; robaczki nasyciły się, czy też zlagodniały i my znużeni zapadliśmy w sen głęboki.

Ledwie słońce zabłysło, zerwaliśmy się obaj, umyli, a że ręczników nie podano, otarliśmy się chustkami, czekając niecierpliwie wyjazdu. Przebyte cierpienia dostarczyły nam wątku do wesołej rozmowy, gdy nagle z sąsiedniego pokoju, w którym hałasował ów ptak, ryknął przeraźliwie Wilkołyski. Wbiegliśmy przerażeni: dziedzic *Sans souçi*, w bieliznie i szlafroku, siny z gniewu, z rozrzuconemi włosami, zacisnąwszy pięście, krzyczał na bladą od strachu dziewkę.

— Uduszę cię, szelmo, pod broną przywiążę, kołek w gardło zabić każę.

— Proszę jaśnie pana — tłomaczyła się dziewka—co ja winna, ze on przełknąć nie mógł.

— Coś ty winna, zbrodniarko, to nie mogłaś podrobić!

Tu Wilkołyski uderzył ją kułakiem w twarz, porwał za kark i wzucił do kuchni.

— Przepraszam panów — rzekł sapiąc wzburzony—ale co ta suka mi zrobiła. Zamierzyłem rozpocząć na wielką skalę hodowanie bażantów. Pojechałem aż nad granicę austryacką, do hr. Potockiego, kupiłem za 15 rs. jedną samicę, przywiozłem ją przed dwoma tygodniami w klatce, pielęgnowałem jak dziecko, teraz znowu byłem w Skierniewicach dla kupienia samca, tymczasem ta kłoda dała wielkich klusek, bażant się udławił i zdechł. Widzicie teraz panowie, jak to z naszym ludem można wprowadzać do gospodarstwa nowe gatunki.

W tej chwili dopiero spostrzegłem na podłodze martwego bażanta, któremu z dzioba wyglądał koniec olbrzymiej kluski.

— Janie!—krzyknął Wilkołyski.

Przybiegł parobek.

— Rąbać mi tu zaraz podłogę, wykopać dół i pochować tego ptaka w pokoju, tak w pokoju. Niech przynajmniej złodzieje wiedzą—rzekł po odejściu parobka— że to nie zwykła kura, którą się za płot wyrzuca

Jan przyniósł siekierę i rydel, wyrąbał dziurę, zrobił mały grób i ze czcią złożył bażanta. Gdy go zasypywał, Wilkołyski westchnął głęboko wzruszony i rzekł filozoficznie:

— Ot, bądź bażantem śród podłego drobiu, zadławią cię prostą kluską.

Zachowawszy należne temu uroczystemu pogrzebowi milczenie, opuściliśmy cmentarz. Nawet i o wegetaryańskiem śniadaniu nie mogło być mowy. To też pożegnawszy gospodarza, który nas stokrotnie przeprosił za doznane przykrości, siedliśmy na bryczkę.

Wyjechawszy na drogę, spojrzeliśmy sobie z Józefem w oczy i parsknęli gwałtownym śmiechem.

W. Okoński.

nienia dekretowo-prawna propaganda Dumas'a, Girardin'a lub Portalis'a?

Toż samo dałoby się powiedzieć i o innych rojeniach tego autora. Chcieć dekretami tylko, nimi wyłącznie, zbudować *drugą* rzeczpospolitę, rzeczpospolitę *prawdziwą*, nie zaś pod osłoną nowych nazw zastosowującą stare nadużycia, jest to szczepić w narodzie zasady liberalne, wypisując na publicznych gmachach wielkie hasła liberalizmu. Wyryte zgłoski widomie czernieć będą na frontonach, głosząc przechodniom: „wolność, równość i braterstwo“ a tymczasem czyliż to przeszkodzi wypadkom życiowym rozwijać się dalej ruchem dawno nabytym?

Spytajcie pana Molinarego autora, niedawno wydanego dzieła: *Rozwój ekonomiczny w wieku XIX*; czy na przekór hasłom po murach paryskich społeczność tegoczesna idzie istotnie ku swobodzie, nie ku nowemu feudalizmowi, już tylko wprawdzie przemysłowemu, ale wstrętniejszemu może jeszcze od dawnego, bo jego wykładnikiem nie groźna ramieniem rycerskość, lecz cicho uśmiechnięty podstęp, zasadzka i poufna zdrada...? Bądźmyż uważni na fakta i nie dajmy się uwodzić różanym nadziejom malowanych etykietek prawnych. Rzeczpospolita z prawami Tytusa Liviusza a z obyczajami, narowami i przesądami, których historykiem Tacyt—to coś potworniejszego jeszcze, niż miano uczciwości podszytej podłym czynem.

Słowem, cywilizacya nie rodzi się na stołach prawodawczych. Światła, wiedzy, cnót i godności w postępkach, dzielności w wykonaniu śmiałych idej, poświęceń dla wszystkiego, co ofiary godne, nie nakaże litera prawa. Są to skutki innych przyczyn, tkwiących w duchowej istocie narodu, w jego *przekonaniach*, które wykształca szkoła, książka, pismo.

To prawdziwa Izba głosująca... Z niej głos przenika w najodleglejsze zakątki świata. Ustawodawstwo obyczajowe leży w ręku pisarza i w jego to pojęciach spoczywa budulec na ową drugą rzeczpospolitą francuską, do której się modli demokratycznie p. Portalis... Nie oczekując zatem wszystkiego od dekretów i kodeksu, musimy pracować każdy po swojemu dla prawdy! Z pracy tej pożądane skutki się narodzą, dojrzeją, łatwiej lub trudniej.

Bolesław Saryusz.

Gospodarstwo Społeczne.

ROZSZCZEPIANIE PRACY.

II.

Wszystkie te fakty, jak już wspomniałem, były logicznem następstwem starej ekonomicznej maksymy, w którą wierzono i której z zasady hołdowano. Każdy grosz, który gotówką na zewnątrz domu miał być wydany, uważano, nawet w klasie bardzo zamożnej, niemal za zmarnowany, i niejeden, co trwonił bez rachunku płody domowe, skąpił, gdy chodziło o jakiś najdrobniejszy zakup. Tak było u nas, tak było dawniej wszędzie, choć zmieniło się wcześniej. Dziś u nas już widzimy wyraźne dążenie w kierunku przeciwnym, wyraźne uwalnianie gospodarstw domowych z tego różnorodnego balastu i zastępowanie go wytworami przemysłu zewnętrznego, pozadomowego. Przekonano się, że wypada to i taniej i wygodniej; jednocześnie bowiem ze zmianą systematu gospodarczego, wytwarza się cały szereg nowych zawodów publicznych, nowych gałęzi pracy, skierowanych wyłącznie ku obsługiwaniu ogółu i zastępowaniu mu tego, o co kiedyś każdy na swoją rękę starać się musiał. Występują tu mianowicie dwie znane i dziś powszechnie wyznawane zasady ekonomicznie, t. j. podział pracy i idea stowarzyszenia. Wydzielenie się takich zawodów z chaosu domowego gospodarstwa i skupianie w ręku pewnej liczby fachowych specyalistów, obliczających działalność swą na obszerne koło spożywców, dozwoliło wprowadzić do nich wszelkie, a dla przedsięwzięć jednostek zbyt uciążliwe ulepszenia a zarazem koszta ich możliwie zniżyć.

Obie zresztą powyższe zasady ekonomiczne oddawna już były stosowane i w epokach dawniejszych. Zawsze istniał podział pracy: istniały np. cechy rzemieślnicze, do których każdy zmuszony był się uciekać. Ta tylko zachodzi różnica, że dawniej uważano podział pracy za złe konieczne i starano się go, o ile można, redukować do tych gałęzi produkcyi, które wymagały znacznych zasobów osobnego uzdolnienia i bardziej złożonych narzędzi; gdy tymczasem obecnie widzimy dążność do rozszczepiania pracy na najrozmaitsze jej odnogi i uznanie wypływających ztąd korzyści. I dla tego liczba *zawodów* t. j. rodzajów zajęcia, wybranych przez jednostki, jako główny i wyłączny sposób zarobkowania, wzrasta w czasach naszych niezmiernie, a większość ich powstaje właśnie przez wydzielanie z domowego gospodarstwa rozmaitych wytworów.

Zawody te w czasach dawniejszych istniały tylko częściowo i to zaledwie w związku. Dopiero wiek bieżący je pomnożył i rozwinął. Zamiast poprzednich, własnym dworem odbywanych podróży, mamy poczty, dyliżansy, koleje żelazne, a po miastach omnibusy i powozy publiczne, nadto towarzystwa przewozowe, ekspedycye towarów i t. p. Domowych „umyślnych“ zastępują poczty listowe, telegrafy i biura posłańców publicznych; restauracye i bufety uwalniają od wożenia z sobą zapasów żywności w czasie podróży, a dla wielu zastępują stale domową kuchnię. Szkoły publiczne i inne zakłady wychowawcze zgromadzają młodzież od najwcześniejszych nawet lat, zmniejszając z każdym dniem zakres domowego wychowania i nauczania. Powstają dalej pralnie, przedsiębiorstwa reparacyi i czyszczenia ubrania, wynajmu mebli, sprzedaży zużytych przedmiotów i t. p.

Nie trudno wykazać, że dwa te odmienne kierunki gospodarcze są logicznym wynikiem odmiennego ustroju społecznego, że zależą od natury i rozwoju pojęć ekonomicznych w społeczeństwie. Dawna zasada, dążąca do skupienia w domu różnorodnych zajęć, odpowiadała w zupełności średniowiecznemu ustrojowi, w którym ideje ekonomiczne ulegały przewadze innych. Składały się na to różnorodne przyczyny, naprzód zaś odrębne stanowisko klas uprzywilejowanych, które dostarczały sił ruchu całemu społeczeństwu i do których interesu kierunek ekonomiczny zarówno jak i każdy inny naginać się musiał. Pojęcia klas uprzywilejowanych o swem znaczeniu i potrzeby utrzymania go były wyższe po nad obliczenia materyalnych zysków i strat, stanowiących podstawę czysto ekonomicznego kierunku. Godność zaś wysoko urodzonego przedstawiciela klasy uprzywilejowanej nie pasowała do demokratycznego charakteru urządzeń publicznych, gdzie każdemu dostęp jest wolny, gdzie każdy za swoje pieniądze jest panem. Zamykać się więc w domu, o ile można, stawało się dlań koniecznością; wtedy tylko był pewny, że nie będzie zmuszony bratać się z dorobkowiczem, że z byle kim nie siądzie przy jednym stole, że wreszcie jego zachcenia i kaprysy natychmiast i wedle jego gustu zaspokojne zostaną. Dziś np. przy wspólnych podróżach kolejami żelaznemi zarówno dostojnik jak i biedak pilnować się muszą godziny, słuchać dzwonka i świstawki, szanować prawa każdego, który bilet wykupił; podczas gdy w dawniejszych podróżach, swoim dworem odbywanych, pan wiedział, że zawsze jest panem, że tylko jego wola o kierunku i czasie pochodu stanowić może.

Lecz obok tej były i inne przyczyny. Stosunki poddańcze dostarczały bez pieniędzy robotnika, którego sił i wartości cenić nie umiano. W skutek tego wszelkie prace, wykonane w domu swojemi siłami roboczemi, przychodziły prawie darmo, a zatem taniej od tego, co choć małą sumą trzeba było opłacić. Z drugiej strony brak dogodnych środków komunikacyi tamował handel, zwłaszcza płodów surowych, trzymając cenę ich na niskim poziomie. Trzeba je zatem było obracać na potrzeby domowe, na utrzymanie całych zastępów sług, stad zwierząt domowych, co znów zmuszało do wytworzenia dla nich jakiegokolwiek zajęcia. Słowem, pominąwszy już nawet względy polityczno-społeczne, klasie uprzywilejowanej rzeczywiście taniej i lepiej wypadało wszystkie, o ile się to dało, potrzeby zaspakajać w domu. Inne warstwy w zbyt niekorzystnych były warunkach, ażeby mogły wstąpić na inną, samodzielną drogę rozwoju gospodarczego. Oddziaływały na nie przedewszystkiem też same czynniki ekonomiczne, t. j. taniość robotnika i surowych płodów wobec rozwiniętego przemysłu krajowego, z drugiej zaś strony cały nastrój, jak już wspomniałem, szedł z góry, teorye wyrabiały się w klasie wyższej, a do niższych przechodziły już gotowe, choćby nawet grunt dla nich nie był tam zupełnie odpowiedni.

(Dokończenie nastąpi).

Karol Dunin.

Badania dziejowe.

SZKICE HISTORYCZNE D-ra KUBALI.

(Lwów, 1880 r. 8-ka, serya pierwsza, wydanie drugie str. 332; serya druga str. 323),

Książki historyczne znajdują u nas czytelników niewielu dla tego, że są niedostrojone do poziomu umysłowego ogółu pod względem treści i formy. Treść tak licznych dzisiaj monografij historycznych, jako bardzo specyalna, słabo obznajmionych z całością dziejów nęcić nie może; nie nęci ich ona tém bardziej, że jest ujęta w formę niedbałą a twardą, dla fachowców nawet ciężką niekiedy i przykrą. Przez umiejętny wybór tematów i przez nadob-

ność języka Szajnocha poczytność zyskał szeroką; posiedli ją w części Bobrzyński i Szujski, a także naśladowcy Szajnochy: Kantecki, Kalicki i dr. Kubala, którego świeżo ogłoszone we Lwowie szkice historyczne zajęcie budzą duże i szczere. Popularność wspomianych pisarzy przynosi dowód, że społeczeństwo nasze chętnie szuka wiedzy historycznej w dziełach fachowych, lecz pisanych przystępnie i gładko.

W ponętną właśnie ujęte formę dwutomowe dzieło p. Kubali zawiera szkiców dwanaście. W seryi pierwszéj mieści się: 1) królewicz Jan Kazimierz, 2) oblężenie Lwowa w r. 1648, 3) oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem, 4) poselstwo Puszkina w Polsce w r. 1650, 5) bitwa pod Beresteczkiem i 6) Kostka—Napierski; w seryi drugiej: 1) proces Radziejowskiego, 2) pierwsze *liberum veto*, 3) krwawe swaty, 4) czarna śmierć, 5) wyprawa żwaniecka i 6) mieszczanin polski w XVII wieku. Z wyjątkiem dwóch pierwszych, wszystkie artykuły dotyczą panowania ostatniego z rodziny Wazów; przedstawiają zaś momenty blizkie sobie odnośnie do czasu, bo wzięte z sześciolecia pomiędzy r. 1648 i 1654, i pokrewne w swej treści, bo przeważnie malujące zapasy z Chmielnickim.

Pomimo pokrewieństwa wypadków i ich chronologicznej bliskości, autor utrzymania pomiędzy nimi związku organicznego zaniedbał: moment każdy traktuje jako epizod odrębny i nawet do złączenia tak łatwe, jak Zborów i Beresteczko, Batoh i Żwaniec, przedziela faktami natury innej, jak „poselstwo Puszkina“ lub „czarna śmierć,“ a to tylko dla tego, że się pierwsze odbyło w r. 1650, a więc przed bitwą berestecką, a ów mór straszny poprzedził potrzebę pod Żwańcem. Podobny chronologiczny pedantyzm, psujący organiczny związek pomiędzy najbliższymi faktami, całości szkiców szkodę wyrządza znaczną. Czyżby nielepiej było „poselstwo Puszkina,“ „proces Radziejowskiego“, „pierwsze *liberum veto*“, „czarną śmierć“ wreszcie umieścić na początku lub końcu, a wojny z Chmielnickim w bezpośrednim ustawić związku? Niewątpliwie, że nieobznajmiony z dziejami czytelnik z pożytkiem odczyta o oblężeniu Zbaraża i pokoju zborowskim; lecz czy potrafi fakt ten połączyć z bitwą pod Beresteczkiem, a tę ostatnią z batalią pod Batohem i Żwańcem, skoro je autor innymi obrazkami przegrodził? Inaczej to robił Szajnocha, gdy Bolesława Chrobrego z odrodzeniem się Polski za Władysława Łokietka umiejętnie szeregiem drobniejszych połączył szkiców, żeby dwa wielkie momenta nie stały luźnie. Dla tego też z owych dwóch szkiców Szajnochy poznać można wszystkie dzieje Polski do XIV wieku, kiedy tymczasem z dwóch tomów p. Kubali nikt nietylko o całości panowania Jana Kazimierza, ale nawet o jednym wielkim fakcie — o przebiegu sprawy kozackiej nie nabierze pojęcia.

Jeżeli z samego zestawienia szkiców wnioskować łatwo o niepochopności autora do organicznego traktowania historyi,—to z drugiej strony natura pojedyńczych artykułów zdradza wyraźnie naukowe upodobania dra Kubali i jego pojęcie o dziejach. Gdyby się autor zabrał do kreślenia kształtu przeszłości, przedstawiłby niewątpliwie historyę wojen z okrasą dworskich i dyplomatycznych zatargów, a z pominięciem spraw innych. Z dwunastu artykułów przeważną liczbę poświęcił bitwom i bitwom, które same przez się nie dowodzą niczego i po które nauka zbyt łakomie nie sięga. Wszystkie zaś owe, z upodobaniem takiem kreślone wojny, przed ogłoszeniem dzieła dra Kubali dla obznajmionych z literaturą historyczną XVII stulecia tajemnicą nie były; owszem z dokładnymi szczegółami wiedziano dobrze o oblężeniu Lwowa i Zbaraża, o potrzebie zborowskiej, beresteckiej i innych; a „krwawe swaty“ opowiedziane nawet już były przez Szajnochę w szkicu p. t. „Domna Rozanda.“ Licznymi przypiskami stara się autor pracom swoim nadać charakter naukowo-źródłowy: my też źródłowości dra Kubali kwestyonować nie chcemy; przyznajemy owszem najchętniej, że w znacznej części z pierwszej ręki, nawet z rękopisów czerpał materyał; ale pomimo tego naukowej wartości tych szkiców nie możemy przeceniać. Z wyjątkiem drobnych szczegółów podał nam autor rzeczy znane oddawna—odkrycia przeto żadnego nie zrobił; zresztą w jakiż sposób uwydatnić naukowość w opisach batalij? Nieuczony kronikarz opisze je tak samo, jak doktór filozofii; rzecz to talentu, nie nauki.

Czytając opisy bitew kilku, żal nam było, że dr. Kubala pióra swojego nie poświęcił sprawom ważniejszym; czytając znowu artykuły treści niebatalijnej, żal nas ogarnął, że autor w miejscu niektórych nie pomieścił batalii. „Poselstwo Puszkina“, lubo bardzo charakterystyczne i nader ciekawe, widoków nowych nie odsłania nam wcale; „Kostka—Napierski“ i po odczytaniu szkicu p. Kubali zagadką będzie dopóty, dopóki bogatsze źródła na tę osobistość rzęsistszego światła nie rzucą; a „proces Radziejowskiego,“ chociaż tu i owdzie nowy przedstawia szczegół, jednakże naukowym wymaganiom zadość nie czyni. Charakteru bohatera autor jasno nie ujął i nie określił jego dążności. Z pod pióra dra Kubali wypłynął demon, lubujący się złem dla zła, bez przewodniczego celu i wyraźnych widoków. Powiada autor (II, 26), że Radziejowskiego chciano koniecznie, jako niebezpiecznego, z podkanclerstwa usunąć, a dać mu kasztelanię krakowską lub zagraniczne poselstwo...; „nie przyjął, chciał buławy wielkiej po Mikołaju Potockim, *zapewnie* aby mieć wojsko na rozkazy i złożyć konfederacyę...“ Tylko *zapewnie*, a mybyśmy wiedzieć chcieli *napewno*. „Król, jak i jego faworyci, szukali *sposobów*, aby się pozbyć w jakikolwiek bądź *sposób* tego niebezpiecznego i znienawidzonego człowieka“ (II, 29); lecz zawsze nie wiemy, *dla czego* niebezpiecznego i znienawidzonego, albowiem autor ani udziału Radziejowskiego w klęsce pilawieckiej, podczas której na chorągwiach swoich wypisać miał: *fugite!*, ani wpływu na rejteradę szlachciców z pod Beresteczka, ani prawdziwego stosunku do dworu wyjaśnić nie umiał. Król Jan Kazimierz w innym szkicu „przekraczał prawa, trwonił grosz publiczny, sprzedawał urzędy niezgodnym i narażał lekkomyślnie przyszłość całego kraju“ (II, 73); a tymczasem w procesie Radziejowskiego nic nie jest winien; robi wrażenie smutnej ofiary, gdy podkanclerzy—łotra bez granic.

Brak naukowej przezorności w traktowaniu przedmiotu zdradza również artykuł p. t. „pierwsze *liberum veto*“. I tu obznajmiony z dziejami nic nowego nie znajdzie; o Sicińskim wiemy tyle, co dawniej, tyleż o sejmie z r. 1652, nie dowiadujemy się nawet, za czyim wpływem został zerwany; na ogólne zaś uwagi autora o sejmowaniu i o naturze *liberum veto* zgodzić się trudno. „Nie należy, powiada, mniemać, aby protestacya pojedyńczego posła mogła była rwać sejmy w Polsce. Takie mniemanie podaje w pogardę przeszłość naszą. Przodkowie nasi w XVII wieku nie byli pozbawieni rozumu, aby dobro całej ojczyzny robili zależnem od zachcenia jednego ladajakiego człowieka. Słowo „nie pozwalam“ w ustach pojedyńczego posła nie miało żadnego znaczenia, jeśli po za nim nie stała liczna frakcya, która protest uznała. *Veto* było wyrazem mniejszości, a poseł, który to słowo wymawiał, wypełniał przyjętą formalność...“ (II, 117). Zdaje się, że dla udowodnienia, jako protestacya jednego posła rwać sejmów nie mogła, wystarcza według autora pogróżka, że mniemanie *przeciwne* „podaje w pogardę przeszłość naszą“ i rzuca kalumnię na przodków... Lubo narażamy dobrą dotychczas sławę, jednakże wbrew autorowi śmiemy mniemać *przeciwnie*. Prawdą jest, że faktycznie za osobnikiem stawała frakcya; lecz błędem jest twierdzić, jakoby słowo „nie pozwalam“ w ustach pojedyńczego posła nie miało znaczenia żadnego i jakoby wymawiający to słowo spełniał tylko formalność. *Prawnie* nawet „ladajaki człowiek“ mógł zerwać obrady; a więc pojedyńczy poseł mógł bardzo znaczną odegrać rolę i rozum przodków z XVII stulecia zawsze podać w wątpliwość. „Niesłusznem także jest twierdzenie, dodaje autor, jakoby *veto* nie miało prawnej podstawy“ (II, 118). Twierdzeniem takiem dr. Kubala zbija wygłoszone poprzednio i sam ojców zohydza; a zresztą, o ile wiemy, nikt z uczonych nie powątpiewał o prawności *liberum veto*; tylko genezę jego inaczej objaśniano, niż autor. „Nie należy zapominać, powiada dr. Kubala, że w wolnych państwach zwyczaj jest większem prawem, niż samo prawo, chociaż się opiera (zwyczaj, czy prawo?) tylko na domniemanem zezwoleniu tych, do których prawa stanowić i znosić należy. *Veto* było zrośnięte z istotą konstytucyi rzeczypospolitej, było naturalnem następstwem prastarego zwyczaju dawania instrukcyi posłom i niepodobna go było wyrwać bez naruszenia fundamentalnych praw rzeczypospolitej“ (II, 118). Z powyższego ustępu domyśleć się trudno, czy się *liberum veto* opierało na „domniemanem zezwoleniu tych, do których prawa stanowić i znosić należy“; czy też „było naturalnem następstwem prastarego zwyczaju dawania instrukcyi posłom.“ Nam się wydaje, że nie wypływało ono ani z domniemanego przyzwolenia prawodawców, ani z instrukcyi, lecz z federacyjnej budowy rzeczypospolitej, w myśl której na sejmie radomskim z r. 1505 w artykule *de non faciendis constitutionibus sine consensu Consiliariorum et Nuntiorum terrestrium* powiedziano: *nihil novi constitui debeat per*

Nos et successores nostros sine communi Consiliariorum et Nuntiorum terrestrium consensu. Dr. Kubala jednomyślność w obradach wciąż ma za zwyczaj i dopiero konstytucyą z r. 1609 zabezpiecza ją szlachcie; tymczasem wzmiankowana ustawa powtarza tylko o wiek rychlejszą radomską, na którą na sejmach i w pismach przodkowie nasi powoływali się zawsze. Według rozumienia ojców poseł reprezentował nie państwo, lecz województwo, ziemię lub powiat i, jako przedstawiciel cząstki, zamkniętej w sobie i posiadającej cechy oddzielnego, na prawach federacyi złączonego z całością państewka, z głosem swoim w ciżbie kolegów niknąć nie mógł, albowiem w razie przeciwnym utraciłby właściwy sobie charakter. Dla tego też ustawa 3 Maja znosiła jednomyślność przez modyfikacyę budowy rzeczypospolitej i orzeczenie, że posłowie „uważani być mają jako reprezentanci *całego* narodu“ (art. VI). Instrukcye, jak chce dr. Kubala, źródłem jednomyślności nie były: wszakże ustawa majowa zaprowadziła obradowanie przez większość, a instrukcyj poselskich bynajmniej nie zniosła.

Z pozostałych szkiców „czarna śmierć“ jest mozajką bardzo staranną i w szczegóły obfitą; a „królewicz Jan Kazimierz,“ odmalowany pod względem psychologicznym udatnie, niewątpliwie jeden z najlepszych artykułów w księgach p. Kubali stanowi. Autor umiejętnie analizuje charakter bohatera, zaznacza kontrasty, przerzuca go z jednej ostateczności w drugą i akcentuje tę dziwną wrażliwość, przy której Jan Kazimierz tak łatwo z duchowego ospalstwa i ascetyzmu przechodził do orgij, z cynizmu do podniosłych porywów. Śmiemy tylko zarzucić autorowi zbyt pessymistyczne traktowanie ostatniego z rodziny Wazów i nielitościwe obciążanie go zarzutami bez uwzględnienia stron światłych okoliczności, śród których siedział na tronie. Może i dodatnia działalność Jana Kazimierza była również kaprysem tylko ekscentrycznym wyskokiem; jednakże zaprzeczyć jej trudno. Bitwa berestecka, nowa tronowa z r. 1661 i abdykacyjna rzucają dużo sympatycznego światła na postać człowieka, którego łatwo zarzucić cieniem, dy śród burz samych panował i zbierał rujące tylko owoce posiewu ludzi i czasów oprzednich.

Największą przywiązujemy wagę do ostatniego ze szkiców, p. t. „Mieszczanin polski w XVII w.“ chociaż to tylko materyał *in crudo*, wyjęty z księgi sklepowej Jana Markowicza, kupca korzennego w Krakowie. Do charakterystyki mieszczanina rzeczony materyał rysów podaje sporo i dzienie sympatyczne rzuca światło na grupę społeczną, dla której pisma szlacheckie mają tylko lekceważenie i wyniosłą pogardę. Jan Markowicz jest człekiem mędrszym i moralniejszym, niż owocześni butni szlachcice; przez zamiłowanie porządku pracy o głowę przewyższa chełpliwych karmazynów, na barkach których ciążyły losy całego państwa.

Pod względem formy dr. Kubala od zarzutu jest wolny. Język ma silny, obrazowanie wspaniałe, dobór kontrastów szczęśliwy wielce. W opisach bitew czujemy zapach prochu i lejącą się krew ciepłą; słyszymy szczęk szabel, huk armat, pokrzyki tryumfu i jęki. W walkach osobisty bierzemy udział; z walecznymi idziemy do szturmu, uciekamy z tchórzami. Dr. Kubala jest historykiem batalijnym i jako taki u czytającej publiczności względy ma pewne. Mamy przecież nadzieję, że się szanowny autor nie ograniczy na podobnem uznaniu i żądnych dobrej lektury obdarzy pracą o skali głębszej i szerszej. Przy takim popularyzacyjnym talencie łatwo przyjdzie p. Kubali ogarnąć przedmiot bogatszy i stworzyć dzieło, które nietylko wzruszać i bawić, lecz i rzetelnie nauczyć potrafi.

Wł. Smoleński.

Z PRZESZŁOŚCI.

Fragmenty dramatyczne M. Konopnickiej, Wilno 1881 r.

Pierwsze moje do *Prawdy* pisanie układa mi się w sposób taki, w jaki poeci i wierszopisarze dawniejsi rozpoczynali epopeję. Mam ochotę do muzy się zwrócić i prosić ją o natchnienie dla prozy mojej. Powód płynie ztąd, że za przedmiot dzisiejszego pisania wziąłem sobie panią Maryę Konopnicką. W „Wydawnictwach E. Orzeszkowej i S-ki“ znalazłem *Z przeszłości — Fragmenty dramatyczne*, podpisane imieniem tej poetki, która, uderzając od czasu do czasu w struny harfy, na ton iście poetyczny nastrojonej, utrzymuje ciągłość poetyczną w narodzie naszym. Zdawało się, że — oto urwało się już — że wielcy poeci nasi zeszli do grobu bezdzietnie. Pokazało się, że — nie. Pozostała po nich dziewczynka malusia; ta się odhodowała, wyrosła i... „siedzi na harfie grająca.“ Wziąwszy na uwagę to, że oprócz niej jest jeszcze Ely, zdanie, że epoka owa, którą „romantyczną nazwano, w przepaść się zapadła, okazuje się wyrokiem zanadto pospiesznym. Nie! — nie zapadła się ona w przepaść do tego stopnia, ażeby nie było ciągu dalszego, który — rzecz prosta i naturalna — nie jest tem samem, jest atoli poetycznością, wynikającą bezpośrednio z tej, co ją poprzedziła.

Wymagać nie można, ażeby się snuło wciąż jedno i toż samo, to jest, ażeby po Mickiewiczu nastał Mickiewicz drugi, Słowackiego zastąpił takiż sam Słowacki, Krasińskiego — Krasiński. Sprzeciwia się to naturze rzeczy. Nastąpić musiała w poetyczności zmiana, odpowiadająca nastrojowi chwili. Za czasów Mickiewicza przeważał idealizm, albo raczej wiara w nadnaturalność, wiara w potęgi pewne tajemnicze, dzierżące w rękach swoich losy świata. Wiara owa była w epoce tej nastrojem ogólnym, przebijającym się we wszystkiem i na wszystkiem odciskającym cechę swoją. Poezya odwracać się od niej nie mogła, ten bardziej, że zagadkowość, tajemniczość jej nadawała się do wieszczenia, rozbudzającego wyobraźnię, trzymała ją w natężeniu. Poeta a wieszcz były to jednoznaczniki. Zkąd poezya zyskiwała na wadze i powadze — stawała się rodzajem wyroczni, oddziaływającej tem silniej, że tłumaczami jej były geniusze. Zachodziło przeto we względzie tym nieporozumienie. Odnośnie się ono do istoty poezyi, branej za coś innego, odmiennego, aniżeli za jedną z form, pod któremi objawia się wrodzone ludziom poczucie piękna. Brano ją za dar wieszczenia, związany ściśle z wiarą — z wiary płynący. Wynikało ztąd, że jakoby bez wiary — i to wiary ściśle określonej a do najwyższego stopnia podniesionej — poezya istnieć nie może. Przesadę przeto, jaka w poetycznej twórczości nastąpiła, tłumaczono sobie osłabieniem wiary, sprowadzonem przez naukę.

Tłomaczenie mylne najzupełniej. Przypuszczając bowiem, że poezya wiary wymaga, to nie koniecznie wiary takiej, a nie innej. Bez wiary obejść się ludzie nie mogą, nie będąc w stanie zastąpić jej wszędzie przekonaniem. Weźmy pierwszą lepszą prawdę naukową — prawdę najpospolitszą, tę naprzykład, że ziemia krąży około słońca. Ilu pomiędzy nami o tej prawdzie jest przekonanych? Czy ogromna, czy olbrzymia większość w ludzkości nie wyznaje jej na wiarę? Fakt, uznany przez powagi, przechodzi do ogółu i ogół wierzy. Faktów tego rodzaju jest mnóstwo; każda wiedzy ludzkiej gałąź może w tym względzie posłużyć jako przykład. Uczeni specyaliści badają, odkrywają, dochodzą do rezultatów, doświadczeniami licznemi stwierdzonych i rezultaty owe podają do wierzenia ogółowi. Ogół nie bada, nie odkrywa, nie dochodzi, nie stwierdza — wierzy. Wiara ta nie jest od wszelkiej innej gorszą, a jeżeli wiara służyć ma jako materyał poetyczności, to i ta posiada warunki, potrzebne do wywoływania uniesień i natchnień. Psalmista wierzył w potęgę Jehowy; Homer wierzył w interwencye bogów i bogiń Olimpu; nowoczesny poeta wierzy w potęgę nauki, wiedzy, postępu i w tej czerpie natchnienia, powinowate temu, które przyświecało psalmiście i Homerowi. Warunki natchnieniowe i ta wiara posiada.

Działanie tych ostatnich postrzegać się daje wyraźnie na utworach pani Marji Konopnickiej, ogłoszonych przez spółkę wydawniczą pani E. Orzeszkowej, których winszujemy tak spółce, jak autorce, jak sobie. Trzy te fragmenty dramatyczne — „Hypatya“, „Vesalius“ i „Galileusz“ dają świadectwo o ciągłości poetycznej w łonie społeczeństwa naszego. Forma prześliczna, treść zastosowana do nastroju chwili — nastroju, który zresztą nieobcym był i wielkim nieboszczykom naszym. Mickiewicza „Toasty“, Słowackiego: „I przed narodem nieście oświaty kaganiec“ są niejako wyzwaniem owego nastroju — wywołaniem go w szranki. Zdaje się, jakby przeczuwali oni, że poematyzowane i dramatyzowane przez nich przedmioty ustąpić muszą miejsce innym równie poetycznym, równie dramatycznym, równie podniosłym i równie służyć mogącym jako motyw natchnień dla umysłów, obdarzonych uzdolnieniem odczuwania piękna, zaklętego w walce życiowej. Bo w czemże walczącemu „Konradowi Wallenrodowi“, „Ojcu zadżumionych“, „Janowi Bieleckiemu“ etc., ustępują walczący: Hypatya, Vesalius, Galileusz? — W czem — pytam — ustępują ci tamtym? Walecznikami są jak jedni, tak drudzy: tamci o prawdę uczucia, ci o prawdę wiedzy. Jak długo uczucie szło przodem, ci ostatni powstawali najprzód w cieniu, następnie w półcieniu. Obecnie, dzięki temu, że nauka wyzwoliła się nakoniec, stanęli na świeczniku — męczennicy! — otoczeni pięknem poświęcenia i grozą przeciwności, przez które przebijać się musieli, wywalczając dla prawdy naukowej uznanie, odmawiane jej tak długo i tak uparcie przez pychę niewiedzy. Wyobrazić sobie nie sposób nic wznioślejszego, nic szczytniejszego, nic tragiczniejszego! Dodać należy jeszcze i to, że wzniosłość owa, szczytność i tragiczność jest rzeczywistą, nie zaś żadną urojoną — żadną taką, jaką, naprzykład, podszywa bohaterów niektórych Byrona.

Tempora mutantur. Czy dawne to czasy, jak Goethe pisał Fausta? Goethe wziął treść z dziedziny walki światła z ciemnotą, ale wziął ją wedle nastroju, jaki panował za czasów jego. Faust jest samolubem; wiedza idzie z szatana; promienie piękna spływają całkowicie na postać prostej, miejskiej dzieweczki, umiejącej jeno śpiewać przy kołowrotku, kochać i wierzyć na ślepo.

Porównajmyż piękność postaci Małgorzatki z pięknością postaci Hypatyi, przedstawionej tak, jak przedstawiła ją pani

Marya Konopnicka. Po której stronie przewaga? Mówię jeno o przedmiocie piękna, nie zaś o wykonaniu, nie o artyzmie; porównywam nie Goethego z panią Konopnicką, ale Małgorzatkę z Hypatyą. Nie jest-że postać tej ostatniej o niebo całe tragiczniejszą od tamtej? Może się taką ona wydaje i—cieszę się nią, bardzo cieszę, niby skarbem na drodze znalezionym. Cieszę się nią z tego powodu, że, wbrew twierdzeniom mężów poważnych, pojawienie się jej jest świadectwem i dowodem, że poezya nie wygasła.

A tak na pogrzeb jej dzwoniono głośno! Przekonywano, że zabija ją pozytywizm. Jeden z estetyków pół-naszych a pół-nienaszych dowodził, iał temu bodaj czy nie dziesięć, że u nas poczucie estetyczne, wysiliwszy się na wydanie trzech gieniuszów od razu, nie jest już w stanie pod żadną przejawić się formą. Chodziło o malarzy szczególnie. Tymczasem—i malarstwo rozwinęło się na podziw—i poezya wystąpiła w ciągu dalszym, w postaci odpowiedniej nastrojowi czasu.

Co się tyczy wykonania *Fragmentów Dramatycznych*, którym i nas pani M. K. obdarzyła, o tem rozpisywać się nie będę. Czytałem je i odczytywałem, nie jako krytyk, ale jako cząstka publiczności czytającej, kierującej się wrażeniami i — wyznam otwarcie—od dawna nie zaznałem zachwytu takiego, jakie mi one sprawiły. Prześliczne są pod względem języka i formy i akcyi nawet. Możeby we fragmencie pierwszym postać Amoniusza zyskała, gdyby bardziej uwydatnioną była. Ale krytykować nie chcę—nie mogę. Z punktu krytyki odważę się jedną jeno poetce skromną uczynić uwagę. Niechby się ona tego trzymała nastroju, który jej Hypatyę, Vesaliusza i Galileusza podyktował. Zdarzyło się mi spotykać ją tu, tam i owdzie przy innym, rozwadniającą się w tem, co francuzi nazywają: „verbiage“. Harfa jej jest nie do wody, ale do ognia—nie do kwilenia, ale do odzywania się głosem pełnym, silnym i śmiałym *). *T. T. Jeż.*

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Encyklopedya Wychowawcza pod redakcyą, *J. T. Lubomirskiego*, *E. Stawiskiego*, *S. Przystańskiego*, i *J. P. Plebańskiego*. Warszawa 1880 roku.

Publikacya ta, której wydane zeszyty (1, 2, 3, 4 i 5) prawdopodobnie, w stosunku do przewidywanych rozmiarów, zaledwie małą stanowią cząstkę, ze wszech miar zasługuje na to, aby krytyka czujne zwróciła oko na jej program i ducha zapowiedzianego w ogłoszonych uprzednio „objaśnieniach“—a co ważniejsza jeszcze, aby z powagą i wielostronnym taktem oceniała i kontrolowała kolejno dalsze jej kroki. Taką postawę nakazuje tu krytyce niesłychana ważność podjętego zadania. Jej przedmiotem jest *wychowanie* t. j. najszczytniejsza, najspołeczniejsza ze spraw ludzkich. Wszak wychowanie, to organ i rękojmia objektywnej nieśmiertelności jednostek, a postępu i szczęśliwości ogółu. W niniejszym, wstępnym przeglądzie, z naturalnego położenia rzeczy, pomówić winniśmy głównie o kwestyi *zasad*, o duchowem haśle, którego *Encyklopedya* trzymać się zamierza; będzie to, zdaniem naszem, i najistotniejszy dowód zainteresowania się publikacyą, i najwymowniejsze świadectwo literackiego i obywatelskiego współczucia ku podjętej przez nią sprawie. Następnie powiemy słów kilka o planie i ogólnem uorganizowaniu materyału.

W „objaśnieniach“ (strona IX) redakcya zapowiada, iż uznaje potrzebę „zostawienia dość szerokiego pola dla poglądów i przekonań osobistych, niekrępowania indywidualności piszącego ciasnymi węzłami“. Nic słuszniejszego. Czy jednak redakcya nie zapowiada tu więcej, aniżeli spełnić by mogła, nie naruszając harmonii z pewnemi, iż tak powiem, nad-zasadami, od których widocznie odstąpić nie czuje się w prawie, nie może? Czy tak poręczona autorom samodzielność nie zakrawa na ową swobodę, którą Wiktor Hugo włożył niegdyś w usta Przywłaszczyciela: „masz wolność mówienia, ale z warunkiem, że będziesz milczał“? Jeżeli jakieś nowe, odświeżające czynniki—już z zasady powszechnych praw rozwoju—przenikają, bo przenikać muszą, we wszystkie działy pracy społecznej, czyż podobna, aby tylko nie wsiąkały do sfery wychowania? Sądzimy więc, że właściwiej było szczerze, jasno, w rysach jak najściślejszych wypowiedzieć podstawowe punkta widzenia, uznane przez redakcyę za nietykalne, a ludziom nowych prądów podszepnąć Dantowskie „voi che v'entrate...“

Po tej uwadze streśćmy wrażenia, jakie na nas sprawiły pierwsze zeszyty. Jakkolwiek w większej części są artykuły historyczne, wszakże dają już one pewne wskazówki o metodzie, treści, podziale, granicach przedmiotu, przytem i sam spis zapowiedzianych artykułów poniekąd te wskazówki dopełnia.

Że w zapowiedzianym spisie dosyć znacznej liczby przedmiotów braknie, na to nie kładziemy nacisku, w przekonaniu, że szereg ten uledz może zmianom, czy w ciągu kolejności alfabetycznej, czy w dodatkach późniejszych, jakkolwiek radzibyśmy spotkać się tu np. z Beneke'm, z Bainem. Więcej aniżeli brak, daje nam do myślenia pewnego rodzaju nadmiar zapowiedzianych tytułów, i to zarówno rzeczowych, jak osobowych. Wprawdzie nic nie mamy do zarzucenia wprowadzeniu przedmiotów, odnoszących się do wyższych, ściśle naukowych dziedzin wykształcenia (filozofia, astronomia, matematyka wyższa i t. p.); ale np. języki aryjskie a tem bardziej semickie zdają się nam zbyt daleko wysuniętą specyalnością. Widocznie uwiedziono się powagą przedmiotów, i dla tej powagi nie śmiano odmówić im miejsca. I niezawodnie wielkich potrzeba będzie wysiłków ze strony autora takich np. artykułów jak: „kwietyzm, sceptycyzm i prawo natury“ aby za pomocą jedynie taktyki metodologicznej usprawiedliwić ich wejście do *Encyklopedyi Wychowawczej*.

Skoro—jak jest do przewidzenia—publikacya ta nie cofnie się przed rozmiarami, które prawdopodobnie może przyjdzie jeszcze rozszerzyć, czy nie lepiej będzie, usuwając część balastu zbytecznego, tak osobowego, jak rzeczowego, jeszcze bardziej wzmocnić żywioł *etyczny*, zapuścić badawcze oko nie tylko w rodzajowe, ale i gatunkowe działy tej dziedziny? W poważnym poczcie osób, powołanych do współpracownictwa w *Enc. Wych.*, zapewnie nikt się nie znajdzie taki, któryby wątpił, że szkoła, a szczególniej też niższa i średnia, jest nie tylko zakładem naukowym, ale przytem — bodaj czy nie głównie: wychowawczym; że ona stanowi pewne, dłuższym promieniem nakreślone pole uprawy moralnej. A znowu najpobieżniejszy nawet rzut oka wystarcza na przeświadczenie się, jak to daleko obecna chwila odbiegła pod tym względem od normy. Obojętność, z jaką dzisiejszy pedagog uprzywilejowany patrzy na usuwanie ze szkoły najpiękniejszego czynnika, który powinien by rozpoczynać i oświetlać cały program nauk szkolnych, obojętność ta, doprawdy, przechodzi wszelkie granice. Nawet nauczyciel domowy, nie stanowi tu wyjątku; nawet powierzający mu dzieci swoje ojciec — ten minister pomiędzy czterema ścianami u siebie,—jedną, godzinkę, półgodzinkę, poświęconą na zajęcie się sercem chłopięcia ze strony guwernera, uważa za zmarnowanie czasu i gotów za nią potrącić przy rachunku miesięcznym. Łatwo przewidzieć z góry, czem na to odpowie ten i ów z pedagogów, ba i niejeden z ojców lub opiekunów. Oto pokaże rejestrzyk następujący: nauka religii, język a, język b, język c, d, f, g, i t. d. ćwiczenie a, ćwiczenie b, i t. d. — pierwiastki kwadratowe, sześcienne, greckie i t. d. — a przytem wszystkiem „cele formalne“ — *copia verborum* i tam dalej, dalej. Jak gdyby to nawet pomiędzy liniami heksametrów *Enejdy* nie dało się podnieść hasło do przebudzenia młodocianej duszy, do trącenia w charakter chłopca i zapytania go: „a czy ty wiesz, dokąd my idziemy po tych spondejach? czy ty wiesz, że zarówno geografia, jak historya, że zarówno logarytm jak i accusativus cum infinitivo—że te wszystkie prawidła i prawidełka, że wiersze i proza, to są tylko rusztowania budownicze, które po ukończeniu gmachu będą uprzątnięte? że to są tylko drogi, które młodą duszę, serce prowadzić mają do umysłowego odkupienia? Jeżeli, jak powiedzieliśmy, nawet wśród samej działalności dydaktycznej co chwila otwiera się pole do umoralnienia, to cóż mówić o stosunkach praktycznych, które jużto peryodycznie, już przypadkowo układają się same przez się pomiędzy uczniem a nauczycielem? A pauzy? a rekracye? a sprzeczki i nieporozumienia pomiędzy uczniami? Nie sąż to sytuacye, wyraźnie dopominające się o wyroczny głos przewodnika, domowego lub publicznego? Bez przesady powiedziećby można, że przy takim biegu rzeczy, czynnik etyczny stanie się podobnym do jednego z owych utajonych naczynek organizmu ludzkiego, które dopiero w chwilach silnego ich bólu poczuwać zaczynamy.

Tak więc radzibyśmy, aby *Encyklopedya*, nie poprzestając na teoretycznem załatwieniu się z *Etyką* (o której zapowiedź czytamy w spisie p w. *Moralność*, *Propedentyka*) przeprowadziła cały praktyczny system moralności, w działach i układzie, jaki uzna za stosowny.

Z dawnych programów przekonywamy się, że w średnich zakładach naukowych wykładano, po jednej lub dwie godziny tygodniowo, *naukę obyczajową*. Jakkolwiek przedmiot ten powierzano ludziom *ex officio niefamilijnym*, to jednak, przynajmniej w pewnym stopniu, osiągano dwa poważne cele: dziecko, a następnie młodzieniec uzacniał się i dojrzewał w poczuciu obowiązku i umysł jego wprawiał się stopniowo w odpowiednie wiekowi życia formułowanie pojęć moralnych.

Podobnie rzecz się ma z materyałem osobowym. Nie zdaje nam się stosownem pojmować *Encyklopedyę Wychowawczą*, jako Wallhallę dla bohaterów umysłowości ludzkiej, choćby nawet takich jak Kopernik. Sama wreszcie redakcya, jak widać ze „spisu wyrazów“, w zasadzie podziela ten pogląd, skoro przy pewnych arcy - poważnych osobistościach zastrzega sobie przedstawienie ich jedynie ze strony pedagogicznej Tak np Piotra Skargę, zaleca wyraźnie jako „Rektora akademii Wileńskiej“. Są liczne przedmioty, przedmio-

---

*) Sąd szanownego naszego korespondenta dopełnimy kilkoma słowy, któremi on swego zachwytu osłabiać nie chciał. Fragmenty p. Konopnickiej są obrazkami dramatycznymi, ale mają podkład czysto wymarzony z bardzo małą domieszką pierwiastków realnych. Skutkiem tego, jeśli nie przedmiot walki, to jej pojedyńcze momenta rysują się niewyraźnie. Tak np. sprężyna, która popchnęła tłum chrześcijański do zamordowania Hypatyi, nie wyskakuje dostatecznie na wierzch. Uwolniwszy się z pod uroku wiersza, trzeba nieraz powtórzyć z Amoniuszem tego obrazka. „Ach co słow próżnych! co słow!... cicho.... cicho!“ Nadto takiej mistrzyni słowa. jak p. Konopnicka, nie przystoi zbyt częste używanie tychże samych barw poetycznych. W wyrażeniach pierwszego fragmentu naliczyliśmy aż cztery *wichry*, cztery *błyskawice*, pięć *burz* i sześć *piorunów* — i w ogólności nadmiar porównań kosmogonicznych. Jak ociosany piaskowiec—mniejsza, ale brylanty szlifować trzeba starannie. A w duszy pani Konopnickiej znajdują się drobne brylanty—np. Galileusz! (*Przyp. Red*)

ty zapowiedziane w programie, które, choć z pewnym *dla nas* żalem, radzilibyśmy jednak redakcyi pominąć a to w imię własnych jej zasad. W przedmiotach bowiem tego rodzaju, jak *pozytywizm* (który tu ma być opracowanym p. w. *Comte*), *naturalizm*; trudno będzie zachować czysto - objektywnie, a znowu najmniejsze wystąpienie z przeciw - zasadami sprowadziłoby *Encyklopedyę* na jednę z tych dróg, których właśnie *w imię swoich zasad* unikać by powinna.

Oto pierwsze myśli, jakie nam nasunął przegląd spisu przedmiotów. Wskazawszy pewne w nim braki lub nadmiary, wyznajemy, że w ogóle wzięty wybór przedmiotów, jest tu dobrze zamierzony i że przy odpowiedniem opracowaniu może rokować pożytek i kierownikom pokolenia i pokoleniu.

Nieco do myślenia daje nam jeszcze pewien szczegół, dotyczący składu tytułów, a mianowicie, że niektóre działy zdają się zbyt rozdrobnione na części tak, że jeden czyni drugi zbytecznym, a nawet prawie niemożliwym. Tak np. pod działem *Języki* oczekiwać mamy aż sześć artykułów. Czy takie rozsubtelnianie nie narazi autorów na tę przykrą konieczność, która w pewnych razach nazywa się rozbieraniem wodą? Wolelibyśmy się mylić tym razem. Również spotykamy tu z jednej strony nazwiska pedagogów, jak np. Trentowskiego i t. p., a obok nich *Historyę* pedagogiki. Albo więc „historyi Pedagogiki" pozostanie bardzo nie wiele do zrobienia, t. j. krótko narysowany przebieg teoryi pedagogicznych — podobniejszy na studyum, aniżeli na artykuł do encyklopedyi, albo bardzo wiele—bo opracowanie tych wszystkich osobistości, które pominiętemi zostały w szeregu osób a pominiętemi być nie mogą w całkształcie encyklopedyi.

Pomiędzy artykułami 5 wydanych zeszytów spotykamy utwory rozmaitych, stosunkowo do zadania zbyt wielkich rozmiarów, i rozmaitej wartości. Niektóre z nich są raczej monografiami, i jako takim przyznać należy wagę rzeczywistą (Abecadło, i t. p.).

Co do samego wykładu, radzilibyśmy usilnie, aby ten przy całej poważności naukowej i ścisłem ogarnięciu danej myśli, odznaczał się możliwą przejrzystością; aby w nim, wszędzie czuć było świeżość i tętno współczesne, ruchy swobodne, dalekie od zawiłości i szczudeł ciężkiej uczoności. Wszak żyjemy w wieku, kiedy i najpoważniejsza z postaci naukowych, filozofia, wynurza się już na światło dzienne, otrząsając z siebie to wszystko, co trąci zaduchem i przesadą. Jeżeli zaś rodzaj przedmiotu jest taki, że wymaga już koniecznie wzniesienia się na wysokość katedry szkolnej, niechże autor przynajmniej nie usuwa prowadzących na nią schodów — niech rzeczy oderwane przeplata przystępnemi, nie skąpiąc przykładów i udostępniających obrazów.

Oczekujemy przytem trudnej wprawdzie ale w takiem piśmie szczególnie ważnej cnoty: wstrzemięźliwości pisarskiej, pod którym to względem nie wszystkie z dawnych artykułów wolne są od zarzutu. Czuć tam niekiedy puszczanie pióra samopas, jedynie w tym celu, aby w widocznym braku treści zasypać szpalty rozwlekłą gadaniną lub deklamatorstwem. A w końcu, jeszcze oczekujemy wszędzie prawdziwej, a nigdzie nienakręcanej *pedagogiczności* tak przedmiotów, jak i ich opracowania. *J. Laskowski.*

„Pokociło się" i „dam nogę" obrazek z życia dwóch braci przez Elizę Orzeszkową. Wilno 1881.

Błaha ta napozór fraszka jest jednym z najdzięczniejszych obrazków. Tytuł jej zawiera dwa miejscowe wyrażenia litwina i koroniarza, którzy z tego drobiazgu, krytykując się wzajemnie, wysnuwają spór o wyższość dwu ziem i narodów. Dla jednego wszystko dobre, rozumne i piękne rodzi się na Litwie, dla drugiego—w Koronie. Ponieważ jest to sprzeczka dwu krewnych, nie zaognia się więc zbytecznie i pozwala żonie litwina załagodzić drobną burzę odczytaniem kilku wierszy z *Pana Tadeusza*. Scena ta jest wspaniała, głęboko wzruszająca, a po wesołem przygotowaniu sprawia tem silniejsze wrażenie. Kartka z nieśmiertelnego poematu naszego wieszcza zamienia się w kapłańskich rękach kobiety w stułę, którą ona wiąże na wspólne i zgodne życie dwu braci.

Nowy zabytek języka polskiego z początku XVI wieku wydany został w Krakowie przez dra Lucyana Malinowskiego. Są to kazania o N. Pannie, przedrukowane z rękopisu, znajdującego się w bibliotece gimnazyalnej w Toruniu, utwór oryginalny *Magistra Jana z Szamotuł*, dekretów (prawa kanonicznego) doktora, zwanego *Paterkiem*, wykładającego r. 1506—7 filozofię w Akademii krakowskiej (+1519). Tekst tego zabytku (str. 118, w 8-ce) poprzedził prof. Malinowski wstępem krytycznym, w którym prostuje także wiadomości dra Kętrzyńskiego, podane przez niego poprzednio (1874 r.) o wieku rękopisu i jego autorze; przy końcu zaś dodał „Słowniczek wyrazów godnych uwagi" (str. 119—134). Zbyteczna dodawać, że wydanie to, pod kierownictwem prof. Malinowskiego; dokonane zostało z całą znajomością rzeczy i dokładnością, wymaganą od podobnego rodzaju wydawnictw. Żałować tylko przychodzi, że szata zewnętrzna książki nie odpowiada ani jej wartości naukowej, ani wielkości pracy podjętej około jej wydania. Druk bardzo drobny i zbity (przy czcionkach nierównych) i papier lichy są ekonomią, której „Komisya językowa Akademii Umiejętności" nie powinnaby wcale zaprowadzać przy wydawnictwie *pomników* języka. *K.*

LIBERUM VETO.

Akt oskarżenia przeciwko pani Orzeszkowej i Konopnickiej.—Moja obrona i ustępstwo miejsca w sporze Litwy z Polską na korzyść delegata *Gaz. Warszawskiej*.—Różnica zegarów nie jest różnicą myśli.—Krzyżackie apostolstwo i kordon prawomyślności. — *Tabunnoje swojstwo*. — Autorka *Fragmentów* i autorowie „drobnych różnic". — Pocieszenie podsądnych i słówko do galeryi.

Przeczytajmy naprzód akt oskarżenia, na mocy którego pani Eliza Orzeszkowa wraz ze spólnikami pociągnięta została do odpowiedzialności przed sejm prasy warszawskiej. Brzmi ono tak:

Pani Eliza Orzeszkowa, autorka wielu powieści, nieoględnie pomieszczanych w prasie warszawskiej, ufundowawszy księgarnię w Wilnie, rozpoczęła wydawać dziełka polskie. Zdawało się, że oficyna jej, widząc zmniejszanie się grosza piotrowego i ciężkie kłopoty *Societatis Jesu* w całym świecie, przerżnie Litwę kanałami pobożności, któremi przepływać będą *Kołderki pikowane łaskami Ducha Ś-go* i *Młoty na grzeszników świata tego*. Tymczasem pani Eliza Orzeszkowa, zyskawszy podstępnie zaufanie ogółu, przygotowała dlań truciznę duchową w postaci dwu książeczek: swojej *„Pokociło się" i „dam nogę"* oraz p. Konopnickiej *Fragmenty dramatyczne*. Dowody przestępstwa w obu dziełkach są tak okropne, że — jak w podobnym wypadku przed dwoma wiekami wyraził się Biskup Andrzej Chryzostom Załuski—*horret animus cogitare, lingua loqui* [1]) i łzami raczej nieszczęśliwość ojczyzny naszej, że takie wydała *monstrum* [2]) nad które i sama Afryka straszniejszego *producere* [3]) nie może, opłakiwać, niżeli *promere sensum* [4]) w tej sprawie należałoby, na która wszystka poruszać się musi natura. *Polonia* — jak rzekł ongi zacny instygator W. Ks. Litewskiego Szymon Kurowicz—*non parit monstra* [5])". A jednak pani Orzeszkowa jest potworem. Nie będziemy tu powtarzać wszystkiego, co nieszczęsna *ex deliberatione* [6]) wyraża na papierze i na co sama *fremit natura*, [7]) dość gdy nadmienimy, że w pierwszej powiastce, w której koroniarz spiera się z litwinem o pochodzenie kilku polskich pisarzów, nie wspomniano o pewnym współpracowniku warszawskiej gazety, chociaż ten kiedyś na Litwie rymował „pieśni z pokłonom" a dziś w Królestwie jest rewizorem patryotyzmu. Nie mniej bezecną jest druga książeczka p. Konopnickiej, która po prostu oskarża kościół o rozszarpanie Hipatyi, uwięzienie Vesaliusza i Galileusza, jak gdyby czyny te nie stanowiły jego glory. Zważywszy przytem, że zbrodnie te popełnione zostały w Wilnie, że wszystko popisane nie *animo disputandi*, lecz *decisive* i *positive* [8]), że tu zachodzi nietylko *error in intellectu* ale i *pertinacia in voluntate* [9]), zgadamy in *genere poenae* [10]), ażeby tak zbrzydliwe książki wprzód ta nieszczęśliwa paliła ręka, która je pisać odważyła się.

Taka jest osnowa oskarżenia wniesionego na sejm dzienników warszawskich, które, jak widzimy, grozi gardłem.

Niepodobna dwu słabych niewiast pozostawić bez ratunku i dla tego podejmuję obronę ich, tem więcej, że mimowolnie przyczyniłem się po części do wytoczenia im procesu. A więc:

Prześwietne stany bogobojnej prasy! Jak wnioskuję z aktu oskarżenia, „Pokociło się" i „dam nogę" gorszy was głównie przez to, że litwin nie walczy z koroniarzem o wielu zacnych mężów, których przed sobą widzę; ponieważ zaś do tego sporu autorka nieopatrznie wrzuciła moje nazwisko, ustępuję więc wam miejsca. Wydrzyjcie z książki odnośną kartę, zapiszcie i wlepcie inną, a ja nietylko nie będę miał żadnej pretensyi, nietylko dyalog Orzeszkowej nie straci dla mnie ani odrobiny ze swojej wartości, ale nadto pozwalam, ażeby o każdego z was poczubiło się siedmiu litwinów z siedmioma koroniarzami. Rzeczywiście nie zasłużyłem na to, ażeby mnie dwa plemiona wzajemnie sobie wydzierały, tymczasem inni posiadają zupełne do tego prawo. Kiedy ja jeszcze czytać nie umiałem, już najbardziej urażony i zainteresowany w tej sprawie delegat *Gazety Warszawskiej* opisał w Wilnie „dla użytku pospolitego urodziny, powołanie i suchoty gorzałki."

Dla czegóż więc on nie ma być spornym Homerem, zwłaszcza że pisywał także i „pieśnie", których ja nigdy nie próbowałem?

Co do pani Konopnickiej, winienem zwrócić uwagę, że ruch myśli nie stosuje się do obiegu ziemi; że jakkolwiek zegar w jednem miejscu wskazuje godzinę dziesiątą a w drugiem jedenastą, nie znaczy to wcale, ażeby w pierwszem ludzie byli o jeden stopień głupsi, niż w drugiem. Chociaż więc Wilno, jako położone na wschód od Warszawy, przedstawia różnicę w pomiarze czasu, nie dowodzi to bynajmniej, ażeby Litwa była ciemniejszą od Królestwa, tem bardziej, że nad nią wprzódy słońce wschodzi. Na dowód tego, przejrzyjcie dostojni obywatele swoje spisy prenumeracyjne i księgarskie, a zobaczycie w nich, na ilu litwinów przypada jeden koroniarz i kto to głównie wykupuje najpoważniejsze dzieła. Może przekonacie się, że ci barbarzyńcy nie potrzebują już krzyżackiego apostolstwa, że to są ludzie bardzo dojrzali, oświeceni, zahartowani w ogniu ciężkich doświadczeń i pod lada nagięciem się nie kruszą. Oni wcześniej

[1]) Umysł wzdryga się pomyśleć a język wypowiedzieć. [2]) potwór. [3]) wydać. [4]) wykładać znaczenie. [5]) Polska nie rodzi potworów, [6]) z rozmysłem, [7]) wzdryga się natura, [8]) nie dla obalenia, lecz stanowczo i twierdząco [9]) nietylko obłęd umysłu ale i zatwardziałość woli [10]) co do rodzaju kary.

rozpoczęli walkę o byt, większą też w sobie wyrobili dzielność. Jeżeli czego żądają od naszej literatury, to zawsze rozszerzenia jej widnokręgu, nie zacieśniania do teatru i zakrystyi, nieprzeżuwania trawy, którą z tradycyjnego żołądka dobywamy. Oni umieją już żyć przy tem świetle, na które my jeszcze przymrużamy oczy. Nie kłopoczcie się więc o ich zdrowie po przeczytaniu książki p. Konopnickiej; bo kiedy wy ją tylko ogryzacie, oni ją doskonale strawią. Rozsadnik ultramontanizmu w Wilnie— zbyteczny, a na potrzeby religijne Ostra Brama wystarczy. Śmieszną jest ta protekcyonalna mina, z jaką mówimy o naszych plemiennych krewniakach; my, wytrawni myśliciele, możemy czytać dzieje przyrody Haeckla a litewskie żaki niech studyują żywoty świętych; jak podrosną i dojrzeją, pozwolimy im zajrzeć do swobodniejszych książek. A tymczasem owe litewskie, ukraińskie i podolskie żaki znają to, czemu my przez szyby wystaw księgarskich figę pokazujemy. I dla tego sądzę, nie należy ich opasywać kordonem prawomyślności, a „nieudolnych aspiracyj“ p. Konopnickiej, która przekradła się do nich ze swoją poetyczną dżumą, tak srogo karać. Nie zaszkodzi ona Litwie i nie obraża Helikonu. Bo chociaż zawsze ścisły w swych wywodach *Kuryer Warszawski* twierdzi, że kierunek *Fragmentów* „wrogim jest poezyi“, dodaje wszakże, że „powinny one zająć zaszczytne miejsce pomiędzy temi, co się u nas obecnie na niwie poetycznej ukazują.“ Wreszcie, dostojni panowie, wstrzymajcie miecz swojej pomsty nad nieszczęśliwą ofiarą, ażeby nawet *Dziennik Warszawski* nie urągał „tabunnomu swojstwu“ polskiego myślenia i nie mówił, że „ani jedna literatura w świecie nie objawia takiej nietolerancyi dla samodzielności cudzych przekonań, jak współczesna literatura polska a nadewszystko może warszawska“. Nie sądźcie, ażeby każda z głów wszych była słońcem, około którego wszystkie inne krążyć muszą. Jeżeli zaś koniecznie chcecie kogoś potępiać, jeśli wam to potrzebne dla życia, dla zdrowia, dla dobrej opinii, to już lepiej prześladujcie śmiałe oszustwa, niż śmiałe myśli. Oto świeżo zdradzono tajemnicę jednej giełdowej piekarni i okazano, jakich drożdży należy używać, ażeby bankierskie ciasto szybko rosło. Drożdże te nazywają się technicznie: „kleine Differenzen“, środek zaś powstrzymujący nadmierne ich działanie — „Ausgleichung“. Według mnie autorka *Fragmentów dramatycznych* daleko mniej zawiniła, niż dużo wymagający autorowie *drobnych różnic*, przeciwko którym nie wystąpił żaden instygator i na których nie *fremit* nasza dziennikarska natura.

Wy zaś, podsądne, cokolwiek orzeknie w waszej sprawie dostojny trybunał prasy warszawskiej, nie złorzeczcie losowi; bo jeśli *Gazeta Warszawska* najznakomitszego historyka niemieckiego radzi „trochę przechłostać“ za to, że „plecie niedorzeczności“ w swej broszurze o żydach, to nie popełnia krzywdy, żądając, aby was wyświetlono z Wilna. Jest to w każdym razie znacznie łagodniejszy stopień kary.

Jeszcze słów kilka pozwolę sobie zwrócić do galeryi naszego sejmu. Ty, przypatrująca się naszym obradom publiczności, mniemasz zapewnie, że my przedstawiciele literatury idziemy w postępie myśli o krok przed tobą. Niestety! nie mamy już zdrowych nóg XVI lub XVIII w., podagra tak nam je osłabiła, że nie możemy podążyć za tobą. To też nieraz, gdy ogół, któremu mamy przewodniczyć, już daleko się posunął w swym duchowym rozwoju, my jeszcze palimy ogniska tradycyjnych sobótek i przeskakujemy przez nie na chwałę bogów cywilizacyi.

Poseł prawdy.

JUBILEUSZ NEWTONA.

(Wspomnienie)

Właśnie upłynęło dwieście lat, jak główne dzieło Newtona *Matematyczne zasady filozofii natury*, zawierające między innemi fizyczny dowód środkowego położenia słońca w układzie świata, zostało przedstawione londyńskiej Akademii Nauk. Z roczników tego towarzystwa—powiada M. H. Waldmann—wiemy z pewnością, że członkowie komisyi, wyznaczonej do zbadania tej pracy, nietylko nie umieli sprostować jej usterek, ale nawet jej nie zrozumieli. Leibnitz, jedyny z uczonych, który mógłby podołać temu zadaniu, uparcie odmawiał przeczytania książki i twierdził stanowczo, że taki dowód jest nietylko niemożliwym, ale że całe dzieło jest po prostu matematyczną mrzonką! Była to niechęć, wywołana sporem o pierwszeństwo wynalezienia rachunku różniczkowego, czy też obawa, ażeby fakt takiej doniosłości nie zaćmił wszystkich innych zdobyczy naukowych, z których znaczny dział chwały przypadał wielkiemu filozofowi? Odgadnąć trudno, chociaż to pewna, że niema przykładu w całej historyi nauk, w którymby wszystkie fakta, potrzebne do wyprowadzenia ostatecznego wniosku, były nagromadzone w sposób tak prawidłowy i zarazem jasny, jak właśnie w teoryi prawa powszechnego ciążenia.

Już Gilbert, twórca nauki o elektryczności, twierdził (w 1600 r.), że kula ziemska jest potężnym magnesem i że za pomocą siły przyciągającej i odpychającej utrzymuje księżyc w obiegu. Galileusz podziwiał ten wspaniały pogląd. Huigens, opierając się na prawie cykloidy, dowodził, że kierunek prostolinijny spadającego ciała już w odległości jednego promienia ziemskiego ulega zboczeniu. Descartes uczył, że każdy ruch ciała swobodnego na powierzchni ziemi powstaje z połączenia siły rzutu i siły ciężkości. Hooke, ówczesny sekretarz Akademii Nauk, będący dziwnym zlepkiem genialności i dyletantyzmu, żądał od Newtona rozwiązania zadania, jak należy ustosunkować siłę rzutu i siłę ciężkości, aby powstał ruch eliptyczny. Słowem, wielu myślicieli przeczuwało, badało, rozmyślało nad tem, co nakoniec jeden geniuszem swym przeniknął i po części przypadkowi wydarł.

Newton oparł swe obliczenia na ruchu księżyca, przyjmując, że on znajduje się w odległości sześćdziesięciu promieni ziemskich i że w skutek tego musi istnieć odpowiednie zmniejszenie szybkości. Rachunek wypadł dobrze, z małą jednak różnicą. Newton nie zadowolnił się tem, a uważając, że ta różnica przeczy założeniu, uznał je za błędne.

W parę lat później przedstawiono Towarzystwu sprawozdanie o rezultatach pomiaru południka, dokonanego przez astronoma Picarda. Obecny przytem Newton, wziął z sobą jeden zeszyt sprawozdania. Odczytując je w domu, znalazł, że poprzednio przyjmował niedokładną wielkość stopnia południka, mianowicie 13 zamiast 15 mil, a sprostowawszy liczby, sprawdził rachunek. Pokazało się, że rachunek był dokładny.

Wtedy to właśnie (nie zaś, jak opowiadają, na widok spadającego jabłka) doznał tak silnego wzruszenia, że nie był w stanie dokończyć sam rachunku, lecz oddał go do przejrzenia przyjacielowi. Pokazało się, że księżyc zbacza od linii prostej o 5 stóp na minutę, co właśnie odpowiada szybkości swobodnie spadającego ciała z odległości sześćdziesięciu promieni ziemskich, nabytej w ciągu pierwszej minuty.

Tem zachęcony, postanowił zastosować swą teoryę do ruchów całego systemu słonecznego. Pomogły mu trzy prawa Keplera, polegające na tem: 1) że wszystkie planety poruszają się po drogach eliptycznych, a słońce jest wspólnem ogniskiem wszystkich tych elips. 2) że wycinki powierzchni opisane promieniem wodzącym planety w równych czasach są sobie równe, i 3) i że sześciany średnich odległości planet od słońca są proporcyonalne do kwadratów z czasów ich całkowitego obiegu. Otóż Newton wykazał, że wszystkie te zjawiska są koniecznem następstwem jednego i tegoż samego zasadniczego prawa— powszechnego ciążenia materyi kosmicznej i że trzy wspomniane prawa wzajemnie się warunkują, jeżeli trzecie zmienimy w ten sposób: sześciany średnich odległości planet od słońca są proporcyonalne do iloczynów kwadratów czasu ich całkowitego obiegu przez sumę masy słońca i planety.

Tak więc dokonane zostało dzieło, zajmujące jedno z najwyższych i najświetniejszych stanowisk wśród prac umysłu ludzkiego. Na współczesnych wywarło ono olbrzymie, bezprzykładne wrażenie. A chociaż nawet koła najukształceńsze więcej wierzyły dokonanemu odkryciu, niż je dokładnie pojmowały, jednak powszechnie odczuwano całą małość wobec niego wszystkich innych ludzkich zdobyczy duchowych. Young i Pope wyrazili to uczucie w swoich poezyach.

Po tryumfie nastąpiła komiczna scena. Hooke, który proponował Newtonowi wyżej wspomniane zadanie, chciał rościć pretensyę do odkrycia. Ale już sąd opinii współczesnej nie chciał nawet rozpatrywać tego śmiesznego zażalenia.

Życie prywatne Newtona stało się niezwykle świetnem od chwili tego zwycięztwa. W domu jego zgromadzały się wszystkie znakomitości angielskie. Katarzyna Burton, siostra wielkiego myśliciela, odznaczająca się pięknością i wieloma przymiotami umysłu, nie mało przyczyniła się do nadania życia temu towarzystwu. Lord Hallifax, pierwszy minister, należał do jej najgorliwszych wielbicieli. Z tego powodu szyderczy Wolter twierdził później, że świat zawdzięcza odkrycie powszechnego ciążenia sile przyciągania, jaką wywierała Katarzyna Burton na angielskiego pierwszego ministra. Wbrew temu twierdzeniu należy zapisać fakt, że gdy *Principia* wyszły na świat, Burton była jeszcze małem dzieckiem.

Helmholz utrzymuje, że Newton mniej zawdzięcza swą transcendentalną sławę stanowczej wyższości nad innymi przyrodnikami, jak raczej temu, że mógł dowieść swej teoryi na gwiaździstem niebie i że wiele innych odkryć (np. prawo zachowania siły) wymaga jeszcze większej zdolności abstrakcyjnej. Lekka przesada! Newton posiadał w najwyższym stopniu zdolność odsłaniania tajemnic natury. Należy pamiętać, że wynaleziony przez niego rachunek różniczkowy posłużył mu za podstawę do dalszych badań. Godnem jest również podziwu, że ten sam człowiek, który odkrył prawa ruchu ciał niebieskich, zdołał zarazem ogarnąć najsubtelniejsze fizyczne zjawiska światła i barw!

I do tego pomógł mu przypadek, który jednak... nastręcza się wszystkim ludziom, a tylko geniusze zeń skorzystać umieją. Chcąc obliczyć współczynnik załamania się światła, przeprowadził jego promień przez pryzmę do ciemnego pokoju. Wtedy odkrył, że światło rozkłada się na pierwiastki barwne. Jak długo temu nie wierzono, dowodem Goethe, który blisko 25 lat walczył z teoryą Newtona, lecząc ludzi z tego „błędu“.

Pod względem literackim *Principia* były zawsze podziwiane jako dzieło klasyczne. Panuje w nich uroczysty ton, w niektórych miejscach przebija się nadzwyczajna skromność, jak gdyby pouczająca, o ile nikłą jest nasza wiedza w porównaniu z niewiadomością. Newton zaleca, żeby dzieła jego nie uważać za ostatni wyraz badanego

przedmiotu, ale raczej za zachętę do dalszych poszukiwań.

Do jakiego stopnia prześcigał on współczesnych swemi naukowemi pracami, widać najlepiej z tego, że jeszcze przez pół wieku wykładano w uniwersytetach fizykę według pojęć Descartes'a a prawa Newtona dodane były tylko w postaci komentarza. Dopiero Voltaire w swych *Zasadach filozofii Newtona* upowszechnił je w szerszych kołach, co nie przeszkodziło jednak wojującemu natchnieniami Heglowi utrzymywać, że „Newton przywłaszczył sobie sławę, która właściwie powinna była przypaść w udziale Keplerowi."

Cokolwiek myśl przyszłości zrobi z odkryciami Newtona, to pewna, że Heglowie dotąd ich nie podważyli, że ciągle stanowią one podstawę w badaniach natury i część zakładowego kapitału nauki. Wraz z całym ucywilizowanym światem korzystamy z duchowych procentów od tego kapitału, i my więc uczcijmy dwuchsetletnią rocznicę urodzin wielkiego dzieła, którą ziomkowie genialnego badania obchodzą bardzo uroczyście. Zacny Adryan Krzyżanowski powiada: „Kopernik był ojcem Keplera i Galileusza, a dziadem Newtona". Jest to więc święto tryumfu wnuka naszego nieśmiertelnego rodaka.

Władysław Sz.

W PERSPEKTYWIE.

Badamy, wszyscy badamy. Jedni z nas, wpatrzeni w olbrzymie teleskopy, obserwują światło, zaćmienia i plamy wielkiego słońca, które obraca się w Friedrichsruhe na około swej osi i około którego krążą wszystkie ciała... polityczne; drudzy przez lunety przypatrują się ruchom księżyców; inni, założywszy monokl lub binokle, podziwiają grupę gwiazd artystycznych; inni wreszcie, nachyleni nad mikroskopami, odkrywają wielkość i zadowolenie swojskich robaczków świętojańskich. Wszyscy więc badają—czy jednak wyczerpują cały widnokrąg publicznej obserwacyi? Czy pomiędzy politycznem słońcem a świętojańskim robaczkiem, między księżycami a gwiazdami artystycznemi, między Bismarkiem a Papuzińskim, między Puttkamerem a Kochańską niema już nic godnego uwagi? Tak sądziłem długo, wraz z innymi astronomami prassy naszej. Pewne wszakże zjawiska w tej za pustą uważanej przestrzeni zwróciły moją uwagę. To przeleciał przez nią jakiś ognisty meteor Jackowskim zwany, to zabłyszczały „spektakliki" amatorskie, to odezwały się grzmoty i pioruny. A więc tam coś jest, porusza się w tej sferze, której mianujemy *prowincyą*? Biorę nie teleskop, bo sięga za daleko, nie binokle—bo za blisko, ale *perspektywę*, która przysunie nam odleglejsze przedmioty uwagi naszej godne. Co przez nią dostrzegę, to wam tu czytelnicy opowiem.

Nie potrzeba nawet szkieł, bo gołem okiem dostrzedz można już zaćmionego nieco w *Kaliszaninie* p. Niemojewskiego i błyszczącego świetnie p. W. S. w *Gazecie Lubelskiej*, uwiadamiającego publiczność, że w Warszawie zacznie wychodzić *Prawda*, która ma go obrabować z tego, w co „się *od dziecka* wierzyć nauczył." Pominąwszy jednak te prowincyonalne gwiazdy i popatrzmy na jeden punkcik ciemny w konstelacyi *Gazety Lubelskiej*. Oto co w niej czytamy:

„Od jednego z poczthalterów otrzymaliśmy prośbę, by organa krajowe wyjednały zezwolenie przyjmowania składek na głodnych poczthalterów, gdyż dotąd —jak twierdzi korespondent — samemi kartoflami karmić się musieli; obecnie z powodu wysokich cen na owies i siano, konie resztkę kartofli dojadają i wkrótce wraz ze swymi panami udać się będą musiały na wieczny spoczynek. Trąbki pocztowej nikt nie posłyszy, a listy i gazety, które dzisiaj, zapewne w skutek braku owsa dla koni, cały tydzień potrzebują na przebycie kilkunastu mil drogi, wcale dochodzić nie będą. Nastanie w kraju naszym cisza, przerywana tylko czasami żargonem spekulantów, przybywających po skórki i miarowym krokiem strażnika ziemskiego..."

Piękna perspektywa! Ileż to treści mieści się w tych kilku wierszach! Jest tu dramat, humoreska, traktat społeczny i polityczny — co chcecie. Dla mnie jest to przedewszystkiem dramat; jeśli bowiem tak ma być, to w cóż się obrócą moje nadzieje służenia czytelnikom wiadomościami z kraju? Z ostatnich słów skargi wnosząc, staną się one dostępnemi chyba tylko dla *Izraelity* i *Warszawskiego Dziennika!* Ale nie poddawajmy się rozpaczy, panie „poczthalterze." Europa, bądź co bądź, pomału zbliża się do nas... może nam jeszcze wystarczy kartofli, dopóki nie nastaną „lepsze czasy."

Tymczasem żyjmy nadzieją. Nie my jedni przecież, panie poczthalterze, skazani jesteśmy na ten idealny pokarm. Ot, naprzykład miasta prowincyonalne, jak to dawno żyją nadzieją utworzenia dla nich Towarzystwa Kredytowego—a przecież żyją i podobno dożyją spełnienia pożądanego faktu. W *Korespondencie Płockim* czytam bowiem:

„Wygotowany przed kilkoma laty przez Dyrekcyę Główną Tow. Kred. Ziemsk. projekt Towarzystwa Kredytowego dla miast prowincyonalnych, które oddziały mieściłyby się przy Dyrekcyach Szczegółowych Ziemskich, dotychczas przychylnego zatwierdzenia władzy wyższej nie uzyskał. Obecnie Lublin, który od niejakiego czasu okazuje więcej troskliwości o dobro właśnie od innych naszych miast gubernialnych, postanowił podnieść projekt Dyrekcyi Głównej. W tym celu miasto wydelegowało w własnem imieniu obywatela swego, inżeniera Suligowskiego do generał-gubernatora warszawskiego, aby prośbę mieszkańców o utworzenie takiego kredytowego oddziału w mieście Lublinie wniósł i poparcie dla projektu zyskał. W odpowiedzi na przedstawienie delegata JW. generał-gubernator zapewnił podobno, że sprawę tę już dawno ma na sercu i że całym swoim wpływem poprze ją w Petersburgu. Warto byłoby, aby i inne miasta ujawniły tą drogą pilną potrzebę podobnej iastytucyi kredytowej."

Oj, wartoby, warto „ujawniać" tak nietylko konieczność przyprawienia nareszcie tego rzeczywiście „wygotowanego" już projektu, ale wartoby w ogólności nie czekać, aż pieczone gołąbki same wpadną do gąbki; wartoby nie spać w objęciach biernej apatyi, poczuwać się do praw obywatelskich, których istota niezależnie od zakresu dostępnej działalności jest zawsze ta sama, wartoby więcej „pukać" aby otworzono, wartoby... ale hola! zostawmy sobie trochę swady na przyszłość.

St.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa d. 6 stycznia.

Na samym schyłku ubiegłego roku zmarszczyła się znowu powierzchnia sąsiedzkich stosunków pomiędzy Rosyą a Niemcami, która przetrwawszy już dość gorące chwile, w ostatnich czasach wygładziła się prawie zupełnie.

Wojowniczy zapał prasy obustronnej ostygł, a niemcy, którzy już robili głębokie studya na temat: polski teatr wojny, dziś ograniczają się na wywijaniu chorągwią cesarstwa przeciw żydom w kawiarni „unter den Linden." Potrzeba jednak było maleńkiej tylko rzeczy, aby ucichłe żywioły pobudzić do nowego zatargu. Potrzeba było tylko podwyższenia cła od towarów wprowadzonych w granice państwa rosyjskiego o 10%, aby całe Niemcy na nowo zawrzały oburzeniem na „niewdzięcznego" sąsiada. Jak żywo rozporządzenie rządu rosyjskiego dotknęło niemców, najlepiej może okazać fakt, że nawet wielki odludek, ks. Bismark porzuca swoje *Tusculum* w Friedrichsruhe, aby pospieszyć do Berlina, którego tak starannie unika, że — jak to dzienniki tamtejsze obliczają — wszystkiego razem dwa tygodnie w ciągu całego roku był obecnym w stolicy, raz się pokazał w parlamencie cesarstwa, a sejm pruski ani razu nie miał szczęścia widzieć oblicza prezesa królewskiego ministerium. Dopiero tedy cło rosyjskie wypędziło lwa z puszczy. Na sejmie, który się wkrótce zbierze na dalszy ciąg sesyi, ma być za porozumieniem z rządem wniesiona interpelacya w tej sprawie, na którą kanclerz sam zamierza odpowiedzieć i sam się zabrać do „represyjnych" środków. Ustawa celna niemiecka ma być zmienioną w duchu upoważnienia rządu do podwyższania ceł względem tych krajów, których taryfa niekorzystną jest dla Niemiec. Zanosi się więc na „wojnę cłową," za którą jednak Niemcy nie będą pewno wdzięczne swemu kanclerzowi, tak samo, jak nie mają racyi dziękować mu za dotychczasowe jego eksperymenta ekonomiczne. W stosunkach obecnych od nas wywożą się do Niemiec przeważnie towary surowe, jak: zboże, drzewo, bydło, które są tam niezbędne, a przeto podwyżka cła od nich dotknie tylko spożywców niemieckich.

Parlament angielski zbiera się dzisiaj. Rozpoczyna się zatem okres bardzo ważny nie tylko w bieżącej polityce, ale może nawet w dziejach angielskich. Jeśli bowiem gabinet liberalny teraz rzeczywiście upadnie, rządy torysowskie niewątpliwie na długo się utrwalą. Położenie w Irlandyi nieustannie się zaognia. Mówią już o nocnych ćwiczeniach oddziałów zbrojnych. Rząd zdecydował się przedstawić parlamentowi wprzód wniosek o środkach wyjątkowych do stłumienia ruchu a następnie dopiero bil o reformie stosunków rolnych. W Afryce położenie anglików wygląda nader smutno. Jedyną drogą wyjścia byłoby zrzeczenie się anneksyi kraju boerów holenderskich, czego też zaczyna się domagać nawet angielska opinia publiczna, choć dotąd dosyć nieśmiało.

Na widowni spraw wschodnich rok nowy rozpoczął się upadkiem projektu sądu polubownego między Grecyą a Turcyą, który obie strony sporne odrzuciły. Dyplomacya zabiera się do nowych prób pojednawczych, o których nic jeszcze dotąd nie wiadomo. Niezależnie jednak od tych pokojowych zabiegów ustala się przekonanie, że wiosna powita Europę odgłosem strzałów z Tessali i Epiru a może i w dalszych krajach bałkańskich.

Szanowni abonenci nasi zechcą łaskawie donosić nam o każdym opóźnionym lub zaginionym numerze PRAWDY.

Dwa zeszyty *Historyi Filozofii* Langego zostały wysłane.

Sprostowanie. W numerze poprzednim błędnie podano kwartalną cenę *Prawdy* w Warszawie; zamiast 2 rs. 50 k. winno być rs. 2.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 декабря 1880 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.